

*Przebieg polityczny*

# PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe  
poświęcone sprawom  
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

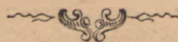
---

ROK PIERWSZY.

15. Lipca 1871.

**Poszyt cztertnasty.**

*(Fide ac veritate.)*



**Spis rzeczy:**

- |  |  |
|--|--|
| 1. Nieszczęśliwi. (Z rosyjskiego).                 | 6. Literaci w Niemczech.                                     |
| 2. Czy Jezuici zgubili Polskę?                     | 7. Jubileusz Ojca św. w Ziemiach Polskich.<br>(Ciąg dalszy). |
| 3. Karta wspomnień Berlicza Sasa. (C. d.)          | 8. Kronika i rozmaitości:                                    |
| 4. Liberalizm wiedeński na wszechnicy krakowskiej. | I. Rzym.   |
| 5. Katolicy w Petersburgu i X. Biskup Staniewski.  | II. Gaz. Nar. w obronie katolicyzmu.                         |
|  | III. Nowe wykopaliska.                                       |
|  | IV. Sion ruski. Broszury. Orędownik itd.                     |

---

L W Ó W.  
NAKŁADEM REDAKCYI.  
Z Drukarni Karola Budweiseba.  
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

## CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despetyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniałej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastykizm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia kłótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

## NIESZCZĘŚLIWI.

W Wiestniku Europy za rok 1868, p. Maksymów zamieścił obszerny artykuł, w którym opisał byt, zwyczaje i obyczaje więźniów zsyłanych w wielkiej ilości z różnych stron rosyjskiego państwa do Syberyi, już — to na posielenie, to do katorgi i ciężkich robót, już wreszcie do tamecznych więzień. Utrzymuje on, że dawniejsza nazwa przestępców *kołodnikami*, wyszła z użycia odkąd to narzędzie (kłoda) znikło zupełnie. Cudzoziemski wyraz *aresztant* nie został jeszcze przyswojony przez naród, jak również nazwa przestępcy (*prestupnik*). Każdego przestępcę, idącego do więzienia, na posielenie, do katorgi itp., naród moskiewski tak w Rosyi jak i w Syberyi zowie *nieszczęśliwym* (*neszczasnym*). O ile ta nazwa przystoi rzeczywiście przestępcom i jest niejako protestem przeciw dawnym sądom, p. Maksymów pragnie przekonać opisem całej drogi od Moskwy do Amuru, po której nieustannie brodzi znaczna liczba przestępców. Pomijając to wszystko, co się odnosi do czasów dawniejszych, a co tak wiernie przedstawia opis słynnego raskolnika Awwakuma Piotrowicza, zaśląnego do Syberyi za cesarza Aleksego Michałowicza, pomijając reformy poczynione w tym względzie za Sperańskiego, opisuje on los tych nieszczęśliwych w sposób następujący:

### I.

#### W d r o d z e.

Litościwi nasi ojcowie,  
Nie zapominajcie nas, niewolników,  
Zamkniętych — na Chrystusa imię!  
Posilcie nas — nasi ojcowie,  
Posilcie nas biednych, zamkniętych  
Litości nad nami nasi ojcowie,  
Zlitujcie się nasze matki.

---

„Милосердные наши батюшки,  
Не забудьте насъ, невольниковъ,  
Заключенныхъ — Христа ради! —  
Пропитайте ся, наши батюшки,  
Пропитайте насъ бидныхъ заключенныхъ!  
Сожалнитесь, наши батюшки,  
Сожалнитесь, наши матюшки,

Nad zamkniętymi! Na Chrystusa imię!  
 My jesteśmy w niewoli,  
 W niewoli — w więzieniach murowanych,  
 Za kratami żelaznymi,  
 Za drzwiami dębowemi,  
 Za wiszącymi kłódami —  
 Rozdzieleni z ojcem, matką,  
 Z rodziną całą — krewnymi“  
 z „Miłosierdzia“.

W taką to formę przybrała się prośba przechodzących po sybirskim etapie aresztantów, zanoszona do mieszkańców wiosek i osad, przez które im przechodzić trzeba. Nie wiele w tej pieśni słów, nie zbyt ona bogata treścią, ale słowa jej nie idą zimno, i razem z szczególniejszą melodyą wywierają wielki wpływ nie tylko na same miękkie, skłonne do litości serca.

Słyszałem tę pieśń raz w życiu i nigdy zapomnieć nie mogę tego wrażenia, jakie na mnie wywarła. Nie pamiętam dnia ani godziny, pomnę tylko, że to był jasny kwietniowy dzień, którego ciepło zniewoliło mię do otworzenia okna i przypatrywania się biednemu i jednostajnemu życiu sybirskiemu. Obraz taki nie długo zachwyci, wnet przechodzi się od niego do wspomnień przeszłości, zawsze żywych i świeżych, najczęściej przypominających rodzinę, którą daleko po za sobą się zostawiło. Tak było i ze mną w tej chwili. U okna jednego ze starych domów w dalekiej Zabajkałskiej wiosce, w której zmusiła mię zatrzymać się wiosenna pora roku, siedziałem i dumalem. Aż tu na raz usłyszałem dalekie jakieś dźwięki nieoznaczenie dziwnie tęsknej nuty. Dźwięki te przeniosły mię wyobraźnię nad Wołgę, gdzie znużony burłak łamiąc nadbrzeżną wiklinę, wylewa z swej piersi pieśń posepną, stawiając do jej taktu znużone swe nogi. Podobieństwo tej melodyi z burłacką pieśnią wydało mi się z początku uderzające. Lecz skoro jej dźwięki jaśniej i dokładniej posłyszec się dały, wyobrażenia moja poczęła

Заключенымъ. Христа ради!  
 Мы сидимъ во неволюшкѣ,  
 Во неволюшкѣ, въ тюрьмахъ каменныхъ,  
 За решетками, за желѣзными,  
 За дверями — за дубовыми.  
 За замками — за висячими.  
 Распростигись мы съ отцемъ, матерю,  
 Со всемъ родомъ своимъ — племенемъ.“ —  
 „Изъ Милосердой.“

inne kreslić obrazy. Myślę sobie: ot nielitościwie towarzyszki rozplotły u narzeczonej warkocz dziewiczy, żeby nakryć jej głowę słubnem ubraniem — i ona to wspomniawszy, że wkrótce utraci swą dziewiczą swobodę, śpiewa:

*Czto w niegie u matiuszki*

*Wo prochładi u braticow <sup>1)</sup> —*

i wylewa swą boleść w śpiewnym płaczu. Ale oto jeszcze bliżej dochodzi mię dźwięk tej pieśni. Wyobrażnia już inne nasunęła podobieństwo. Zdawało się że to grobowy płacz, wydobywający się z piersi leżącej na mogile brata, męża lub ojca — lecz gdy z po za węgła pokazała się partya aresztantów z konwojem konnych kozaków na czele i żołnierzami po bokach, gdy wreszcie posłyszałem pieśń całą, zapomniałem o wszystkich porównaniach, jako niewiernych i niedających się w niczem zastosować. Tony pieśni aresztanckiej zlewały się w jeden — przejścia tak były delikatne, że ich prawie odróżnić od całości nie było można. Słysząc tylko było jakby jeden jęk — jęk nie jednej, ale całego tłumu piersi. Słów nie było słyszać — słowa i dźwięki zlały się w jedno, a tak dalece przenikały do serca, że im się trudno było oprzeć. Od tej pieśni wiała jakaś wilgoć podziemi, ponurość ścian więziennych, ciężkość ołowiana katorgi, gdzie człowiek w najsmutniejszym na całe życie znajduje się stanie.

Całe też potem dnie prześladowały mię te męczące dźwięki owej strasznej pieśni, i dziś jeszcze przypominając je w myśli, nie mogę nic podobnego wynaleźć, coby z nimi porównać się dało. To też mogę upewnić, że melodia ruska nie odpowiada tak silnie słowom pod nią podłożonym, żadna nie trafia tak prosto do celu i w samo serce, jak pieśń nucona przez aresztantów w więzieniach i na etapach.

Na ten raz partya kajdaniarzy kończyła ostatnią setkę wiorst długiej i uciążliwej siedmiotysiącnej i rocznej swej drogi. Nie wiele już zostawało jej do zrobienia wiorst, żeby dostać się prosto do katorgi.

Lecz dopóki kajdaniarze przed oczyma, nie odejdziem od nich. Pójdziem za tą masą, choć ona udaje się w dół ulicy, nużąc, powolnym krokiem ledwie wciągając za sobą nogi; sam brzęk kajdan stał się jakiś głuchy, słysząc go tylko dla tego, że każdy z tej

<sup>1)</sup> Pieśń gminna. „Kiedy u matki znajdziesz troskliwość sercową, to u braci jedynie chłodną obojętność“.

partyi na obu nogach dźwiga ciężkie pięcio-funtowe kajdany. Na ten raz umyślnie powoli idą, aby zbierać mogli jałmużnę, a uroczystą jest dla tego, że każdy aresztant łączy z ogółem swój rozbity głos, żeby modła mogła być powszechną i trafiała do serca słuchaczy.

• Wzdłuż ulicy brzmi dźwięk tej pieśni — aresztanci troskliwie zanoszą swą śpiewną modłę, tak jakby bali się, żeby nie uronić z niej słowa, nie sfalszować tonu; śpiewają głośno i usilnie, jakby cieszyli się, że uroczyste mogą wypowiedzieć w głos swą wielką boleść i niedolę.

Konni kozacy i żołnierze wsłuchani w śpiew, zatopili się w nim zupełnie. Zamyślili się, choć przywykli doń od dawna i jakby nie chcą wiedzieć, że z obu stron oddzielają się od gromady aresztanci dla zbierania jałmużny. Pieśń osiągnęła cel, ofiary tak szczodre i częste, że przyjmujący je nie mają czasu zdjąć czapki i nie zdejmują jej. A tym czasem jałmużnę przynosi im każdy — niesie i znajoma mi staruszka, której jedynek syn zginął na Amurze, która skutkiem wielu nieszczęść wszystkie swe uczucia skupiła w sercu i żyje już tylko współczuciem, mówi tylko westchnieniem. Nie ma ona żadnych środków do życia, nie ma sił, ale zkąd się jej one wzięły, gdy zasłyszała pieśń aresztancką — zkąd się wzięły i pieniądze? — Daje ostatni swój grosz, przygotowany na pogrzeb — daje i wstydzi się ludzi, i ucieka, by jej nie widzieli. Obok staruszki Anisii, rzuca zazwyczaj jałmużnę obrzędową i z góry oznaczoną, kupiec-wieśniak, który tylko co wczoraj zdołał oszukać na owsie i chlebie i dawno już poświęcił wszystkie swe zdolności na zebranie kapitału. Niesie swą jałmużnę i ogląda się — daje, lecz się nie chowa. W ślad za nim niesie ostatni grosz biedny szylkiński kozak, który w tym czasie nie mało doznawał kłopotów i nieszczęść, już to z powodu nieustannej służby skarbowej, już to z powodu domowej niezgody, sprowadzonej na kozackie głowy przez ów przechwalony ciężki Amur. Daje jałmużnę aresztantom i dziecko, wysłane przez matkę i sama matka z zebranych na świeczkę dla Pana Boga groszy, z schowanych na czarny dzień, na niedobry czas. A wszystkim podziękę odśpiewują aresztanci za wsią, zbyt krótką, ale serdeczną:

*Dołżny wieczno Boga molit'*

*Czto ne zabuwajete wy nas*

*Biednych, nieszastnych, niewolnikow!*

Tę ostatnią śpiewkę i pieśń początkową w ogóle nazywają „*Miloserdnoj*“. Słyszeć ją można w samej tylko Syberyi, gdzie ona

w początkach tego wieku znaną zaledwie była w formie krótkiego recytatywa na wzór zwykłej piosnki żebrackiej. W Rosyi nie śpiewają jej, nie dla tego żeby nie wolno było aresztantom prosić o pomoc, lecz dla tego, że tam, jej miejsce zastępuje bicie w baramban. Bębnienie ten sam ma cel i te same sprowadza skutki, tylko wedle twierdzenia aresztantów, nie w takiej sile jak „*Miloserdnaja*“.

— Pozwól nam — mówił do mnie pewien zbiegły katorżnik — tę *Miloserdną* w Rosyi zaśpiewać, a tobyśmy z wielkimi kapitałami tu przybywali. — Bęben to już nie to...

— Czy bęben gorszy? — pytałem.

— Tak — bo rządowy — w bęben uderza żołnierz. — Nie każdy to rozumie, ale każdemu smutno odbija się ten dźwięk w sercu, każdemu ciężko — cieleca skóra nigdy tego nie wypowie co język człowieka.

O podróży aresztantów z domu aż do miejsc ich osiedlenia, wiadome są następujące rzeczy:

Aresztanci zebrani w Moskwie w jedną partję i oddani konwojnemu oficerowi i komendzie, wychodzą co tydzień w oznaczony dzień z perexylnego więzienia.

Ocknąwszy się za więziennymi wrotami na ulicy, partja aresztancka przez długi czas głęboko tkwi w pamięci miejskiego tłumu. Tłum ten zna, dobrze ich los smutny; wie, że idą w daleką i ciężką drogę, która pociągnie się kilka tysięcy wiorst, i nie przez jeden rok. Nie wiele nastęrcza przyjemności tak daleka droga, wiele owszem zapowiada im ona przykrości, tem bardziej, że muszą iść w kajdanach, cały rok i wśród letnich upałów, wśród wiosennych deszczów, po błocie jesienią i wśród trzaskających mrozów. Droga straszna, a straszna — tem gorzej, że droga idzie prosto do katorgi, która w pojęciach ludu uważaną jest na równi z piekłem. — „Tam, — mówi lud, — tam gdzieś daleko za Syberyą, podkopane są krzywe, sięgające niebios góry. W tych górach jamy głębsze od głębin jezior. Tam-to posadzą wszystek ten lud na całe życie raz, i już ich nigdy ztamtąd nie wypuszczą. I siedzieć tam będą, nie rozęznawając dni bożych, nie wiedząc o świętach pańskich — będą siedzieć w ciemnościach i zaduchu obok pieców rozpalonych, wśród skał kamiennych, przy takich robotach, którym niema końca, ni wytchnienia, ni płacy. I znudzony zostanie ten lud pracą i boleścią, bo wszelkie wyjście mu wzbronione, rodzina oddalona, zdala od miłych

sercu, a i otchłań katorgi głęboka i zapieczętowana. Z łańcucha tam trudno się zerwać, kaźnią znajdzie wszędzie. Z piasku tam powrozu nie ukręcisz i umrzesz w cudzej stronie — i kości za rodziną zapłaczą. Choćby im pomódz, to siły za mało. — Niech więc wam idzie na ofiarę nieszczęśliwym moja łza sieroca, ciężkie westchnienie i grosz zapracowany, a nuż i on się wam przyda itd.“

Aresztancka partya idąca przez Moskwę zbiera więc ofiary sobie podawane i od bogatszych i mniej zamożnych, od tych którzy zawsze mają więcej szlachetnych porywów. Porywy te nie przybrały jeszcze naturalnej formy i nie zeszyły do obyczaju, wprowadzającego we wszystkim wagę i miarę. Porywy tego tłumu nie czekają przypadkowych pobudek; dość dla niego napomnienia. Dość pokazać się arestantom na ulicy, dość jednego brzęku kajdan, żeby ten poryw zamienić w czyn. Wprawdzie z tej części tłumu nie wiele dostanie się może arestantom; rubel lub kopiejka nie wiele pomogą, lecz mimo to, ofiary te płyną zewsząd z lewa i z prawa, w Moskwie na biednych Butyrkach i w bogatym kupieckim sklepie, na handlowym straganie i furmańskim placu. Im więcej ludu na ulicach, czem piękniejsza pogoda i dogodniejsza dla zgromadzenia się ludu pora, tem bogatsze ofiary i pożądańsze dla arestantów. Lecz trudno poznać, kto daje więcej, czy przypadkowo znajdujący się na ulicy interesant, czy przykuty do ulicy stały jej mieszkaniec, pański furman, bogaty handlarz, czy kramarz itp. I bodaj czy w tym względzie jest między nimi jaka różnica.

Różnicy tej trzeba szukać w innym gatunku dobroczyńców, a mianowicie tych, którzy ukończyli już swoją robotę na ulicy, którym ulica przyniosła znaczną korzyść i sumkę dostatnią. Dobroczyńcy ci zasiedli teraz w wielkich domach i tam prowadzą interesa na wielką skalę. Oni również nie pozbawieni współczucia dla arestantów, lecz z powodu interesów i zajęcia, czekają silnych pobudek. Życie tych ludzi, zmuszonych szukać we wszystkim systemu i porządku, płynie wymierzonym krokiem, rozdzielone na dnie i tygodnie. Wśród tych dni są i takie, które wedle starego obyczaju, lub z ojcowskiego zalecenia, lub w skutek towarzyskich przypadkowości itp., poświęcają się dobroczynnym dziełom. Źródło tych ostatnich leży w temże samem uczuciu i serdecznem przekonaniu, które w dawnych czasach zasiało całą dolinę ruskiej ziemi cerkwiami i monastyrami, przyozdobiło jedne i drugie w ogromne dzwony, drogocennymi naczyniami i ozdobami, w bogate uposażyło dary. Imieniny rodziców, rocznice familijne, wielki tydzień, liczne pańskie i Bożej Matki



święta, od dawna obchodzą się ofiarami *Christaradi*, tj. daniną chleba i pieniędzy dla nieszczęśliwych prześladowanych i uwięzionych. Zwyczaj ten zachowywany przez wszystkich ruskich kupców, bogatszych i biedniejszych, większych i mniejszych miasteczek, szczególnie przestrzegany bywa przez tych, którzy obok starych obyczajów, trzymają się i wiary starej. Jeżeli zaś z jednej strony współczucie dla nieszczęśliwych silniejsze u prześladowanego, to i wiara w słowa: „że ręka dającego nie zubożeje“, silniejszą jest u starowierców. Z drugiej strony dostatek i materialne położenie, ześrodkowane w gminach raskolniczych, aż nadto objaśniają owe obfite ofiary w tych miastach i na tych ulicach Moskwy, które zabudowane są po większej części przez kupców starowierów. „Okryjem nagich, mówią oni, obujemy bosych, nakarminy łaknących, napoimy pragnących, pochowamy zmarłych, a zasłużymy sobie Królestwo Niebieskie“; „pieniązek — modlitwa, ostre są jak brzytwa, wszystkie zgołą grzechy“ — a więc „jedną ręką zbieraj, a drugą rozdawaj“ albowiem „kto sieroty karmi, tego wzdzy zna Pan Bóg“. Te zasady, mówi p. Maksymów, doszły nas z dawnych czasów, kiedy nasz lud pojęcie o zesłanych i więziennych mieszkańcach bezwzględnie zmieszał z pojęciem o ludziach nieszczęśliwych, godnych współczucia. W jednym ze starych dokumentów, charakteryzującym lepiej niż inne położenie zesłanych (odnoszący się do wieku XVII) znajdujemy najwyraźniejsze świadectwo, że naród od dawna okazywał gotowość ofiarami i pomocą wszelką osłodzić położenie każdego zsyłanego. Protopop Awwakum, jeden z pierwszych i silnych przeciwników Nikona, znajdował i w Syberii pomoc i od rodziny wojewody, jego żony, bratowej (przysłał kawałek mięsa niekiedy, inną razą mąki i owsa) i od rządcy wojewódzkiego itd. „Na Bajkale nieznan, spotkani ludzie ruscy, obdarzyli żywnością ile było potrzeba; jesiotrów świeżych przywieźli, mówiąc: — oto ojciec dla ciebie, Bóg nam to dał, weź sobie wszystko“, — zrobili mu kódkę, uszyli żagiel i na drogę dali zapasów różnych. W Moskwie ofiary czynił sam car z carycą i bojarami („car dał 10 rs., caryca 10 rs., Łukasz, spowiednik także 10 rs., Rodion Streszniov 10 rs., a Teodor Rtyszczew kazał swemu kasyerowi wsunąć mi w czapkę rs. 60“).

To współczucie i wspieranie zesłanych, zupełnie nieznanem jest Europie zachodniej. Nie ulega wątpliwości, że uczucie miłosierdzia wzrosło i utrwaliło się w narodzie głównie w tym czasie, gdy na zsyłkę przeznaczono taką strasznie odległą krainę, jak Syberya, i kiedy zesłanym tym sposobem powiększyli cierpienia, do-

magając się od nich większego zapasu sił i cierpliwości. To też jedynie przy takiej pomocy materialnej mogli zesłani (jak pierwsi, tak późniejsi) stawić po części czoło wszystkim nieprzyjaznym siłom pochodzącym już to od surowej przyrody, już to od surowych ludzi. Usiłowanie złagodzenia tych niedogodności wyrobiło w nich oddzielne zwyczaje, które oni przekazali swym późniejszym następcom.

Przez wszystkie historyczne czasy Rossyi, szczególnie zaś w ciągu ostatnich dwóch wieków, nastęczała się rządowi sposobność użycia sobie nieraz tych ofiar dobrowolnych i podciągnięcia pod różne prawidła. Tak np. skoro zauważano, (w 1767 r.) że ofiary składane więźniom nie wydają im wcale, lecz zaliczają do (*kormiowej daczy*) sumy przeznaczonej na ich utrzymanie, polecono pilnować, żeby z tych ofiar nie więcej jak 3 kop. dziennie dostawały się więźniowi. Z pozostałości zaś rozkazano zakupywać dla nich odzież. A jednak pomimo tego, mimo prawa zabraniającego aresztantowi mieć przy sobie pieniądze (odbywano rewizye), pomimo, że praktyka wykazywała, jak niepewny był ów pośrednik między więźniem a ofiarę dającymi, gotowość do jałmużn nie ustaje dotąd. Owszem zwiększa się nawet w miarę jak siły przeciwdziałające i nieprzychylne okoliczności wzrastają. Opierając swe religijne uczucie na różnych przepisach wziętych z Pisma św. i z tradycyj odwiecznych, ofiarodawcy z kupieckiego stanu w Rossyi obok zwykłych jakby obowiązkowych ofiar, dają takowe i w innych czasach, lecz nie inaczej, jak tylko wyzwani jakimkolwiek zewnętrznym znakiem lub zachętą. Aresztancka partya w tym względzie za zgodą władz, ucieka się do jedynego, jej dostępnego środka. W Rossyi jest nim: bicie w bęben, którego dopełnia żołnierz konwojny — w drodze przez Syberyę: pieśń „*Miłoserdnaja*“ śpiewana przez całą partję aresztancką. W Moskwie, gdzie wedle zeznania wszystkich zasłanych, dostają się im najbogatsze ofiary, wołania te tem konieczniejsze, że marszrut prowadzi zwykle zdala od tych ulic, gdzie po większej części zgrupowali się bogacze. Imiona i nazwiska tych bogaczy pamiętają aresztanci w katordze. Oto co w tym względzie udało mi się tam zasłyszeć:

— „W naszej partyi dostało się każdemu z nas po 30 rs. i to tylko z samej Moskwy. Na pierwszej stacyi zrobiliśmy podział. Pr...w i S...w, takie dają ofiary, że dziwi się temu cała partya. Pr... na Preobrażeńskom dał wszystkim perkalu i po 3 rs. na każdego, a w Bogorodzkim kazał dać nam na odzież i po 1 rs. na każdego.

— Moskwa lubi dawać ofiary — mniej od 10 rubli rzadko kto da. Solenizant, który w tym dniu obchodzi dzień swych imienin, zwykle daje więcej.

— Miasto Włodzimierz — opowiadał mi inny katorżnik — najgorsze ze wszystkich — ofiary tam bardzo małe — lepsze Wiazniki, lecz również do zbyt szczodrych się nie liczą. Niżnyj lepszy, osobliwie na Niżnym bazarze ofiary większe. Ale niema miasta bogatszego i przychylniejszego aresztantom, jak Łyskowe-Sioło, Kazań, Kuugur, Jekaterinenburg, Tiunen, a to dla tego, że w tych miastach dużo jest starowierców. Ofiar oni nie skąpią...

— Ja np. (grzeszny człowiek!) lubię wódkę a i tak w drodze uzbierałem do 100 rubli i przyniosłem je aż tu — z tą sumą rozpocząłem życie na katordze, a zebrałbym ich do 300 rs. gdybym nie hulał. Oszczędni z braci moich do 500 rubli nabierali.“

Obok tych ofiar dobrowolnych i kaziomnych kopiejek, które wydają aresztantom na ręce, partya innych dochodów ma bardzo mało. W czasie wypoczynków w więzieniach, otrzymują oni niekiedy ofiarę w naturze, ale to nie zwiększa kapitału aresztanckiego — Istnieje jeszcze jeden środek pieniężnego dla nich zarobku, ale dochód z tego obok szczególnej oryginalności swej, jest tylko przypadkowy i nie zawsze pewny.

Wiadomo np. że na kilka wiorst przed większemi gubernialnemi miastami wyjeżdża na spotkanie partyi biegły w języku, zręczny i ruchliwy młodzieniec w Sybirze, który się zwykle przedstawia za komissionera tego kupca, który jest entrepreneurem odzieży zimowej dla aresztantów. Człowiek ten w blizkich prawie zawsze zostaje stosunkach z oficerem partyi i robi za jego pozwoleniem taki interes, który dlań nie nowy a dla aresztantów wygodny. Proponuje on aresztantom, żeby mu sprzedali swe ciepłe ubranie, zwykle kożuszki, otrzymane niedawno w niedalekiem mieście gubernialnem, z kąd ich ostatecznie odstawiano do Syberyi. Zazwyczaj daje im nie wiele, ale płaci za to gotówką a przytem kupuje nawet dobrze podchodzone kożuszki, zamieniając je na łachmany, które z sobą przywozi, umie je zręcznie aresztantom sprzedać. Cały proces tego handlu trwa zaledwie 3 lub 4 godziny bez względu na liczbę aresztantów. Kupczyk taki przybywszy na dobrym koniu, potrafi o tyle uprzedzić partya, że może oddać kupione rzeczy gospodarzowi — ten odwozi je co rychlej naczelnikowi aresztanckich wysyłek zanim partya przybędzie. Kożuszki oddane tym sposobem do magazynu, dostają się znowu na plecy aresztantów, rzadko kiedy poprawione lub w lepszym stanie,

jak były z nich zdjęte. Przynajmniej nie potrzeba ich wietrzyć, — nie czuć ich... wonią owiec kazańskich lub romanowskich — tłómaczą sobie aresztanci — i są zadowoleni.

— Choć przykaszczyk ryzykowny zrobił interes, to przecież ja zyskałem rsr. — za rubla srebrnego sława Bogu! — w handlu naszym bez tego obejść się nie można — myśli sobie chytry entrepreneur, z zadowoleniem głaszcze swą brodę, swobodnie sobie popijają z dymiącego się samowaru tanią herbatę i zajada różne bardzo smaczne łakocie.

— Wszak nie zawadzi dodatek do pensyi skarbowej dla dzieci na mleko — mówi sobie trzeci — i zadowoleni jeden z drugiego, powtarzają te same operacye już nie przez rok jeden i nie w jednym miejscu.

Operacyę z półkożuszkami robią i bez ogólnego udziału aresztantów za pośrednictwem samego starosty. Często dają im kożuszki, które zaledwie dzieciom przydaćby się mogły — lecz tu głównie chodzi o dopełnienie formy i zapisanie rzeczy do książki rozchodowej. Zesłani zwykle miewają kożuszki dobre i obnoszone i nie cuchną, z takimi żal im rozstawać się, a otrzymane świeże sprzedają zaraz zazwyczaj — ten sam entrepreneur odkupi je natychmiast i w cechhauzie\*) na nowo je złoży.

Jednem słowem wszystkie żądania zaspokojone, aresztanci zadowoleni, widzą oni w tem troskliwość władzy i posiadają nowy kapitał w monecie brzęczącej. A ten kapitał im niezbędny, bo w drodze, pokus wiele i przewidzianych i nieprzewidzianych. Jeden naprzykład komendant etapowy utrzymywał kabak (szynk wódki), dając więc we własnym interesie większą swobodę więźniom, pozwalając im upijać się i zapijać do nitki. Aresztanci tem ohotniej pili, że zaraz za tą stacyą jest miasto Kongur, chojne w dawaniu ofiar. Ci i owi więc zapełniali kieszenie, które jeszcze pełniejszymi czynili kupcy starowiercy w Jekaterynenburgu i Tiumeni. Pieniądze są wszechwładne, tworzą dziwy, pieniądze uprzyjemniają etapną drogę i uwalniają aresztantów od mnóstwa niewygód. Bez pieniędzy na etapach już byłaby katorga. Wie o tem zwierzchność i bierze je — wiedzą o tem aresztanci i dają pieniądze za wszystko. Samowolność i zwyczaj sprawiły, że etapne życie are-

\*) Pod Tobolskiem istniał taki zwyczaj: Na ostatniej stacyi kupowano zawczasu u aresztantów kajdany dla tego, że po przybyciu do miasta tamtejsze kajdany kazano zdejmować zwykle i rzucać na kupę, która nigdy się nie obliczała.

sztańta złączone z różnego rodzaju uciskami i wymaganiami. Widać tu cały system, który w krótkim czasie zdołał się wyrobić. System zaś ten wyraża się w następującej formie: „każdy człowiek na zasadzie wszelkiego prawa, szuka swobody, a pozbawiony jej, jeszcze usilniej. — Od ciebie zależy moja swoboda, ale zupełnej dać mi jej nie możesz. Lecz jako człowiek otarty i bywalec masz śmiałości dosyć. Zadasz sobie trochę pracy i możesz nam choć cząsteczkę jej udzielić. — Niema potrzeby uczyć się śmiałości. My potrafimy się ludzi i najmniejszą odrobinę wolności przyjmujemy za całość — lecz ty nie możesz i nie zechcesz nam jej dać darmo. Żądasz wynagrodzenia za twą ofiarę. — Weź ile chcesz, na ile nas stać, lecz daj nam odetchnąć w stosunku, w jakim ty oceniłeś sobie swobodę. — Wiemy, że oszukujem samych siebie, wiemy, że jutro przyjdzie nam gorzko i łzawo śmiać się nad sobą, żałować pieniędzy utraconych; lecz bądź co bądź, dziś chcemy zapomnieć o kajdanach i o wszystkich etapach. Dziś chcemy być ludźmi posiadającymi pieniądze, a jutro zbrodniarzami, włóczęgami itd.“

Aresztanci wszystko kupują; samo prawo do przyjmowania ofiar nie zawsze dostaje się im darmo, potrzeba je często okupić.

Zaraz w Moskwie po wyjściu partii z więzienia, naczelnicy etapni zwykli objawiać program swego postępowania w drodze, którego się i dalsi ich następcy trzymać będą obowiązani.

— Którymi was dzieci prowadzić ulicami? — pyta swej partii doświadczony oficer.

— Dobremi Wpanie — odpowiadają także doświadczeni aresztanci — każ Wpan bić w bęben i pozwól na posiłek.

— Posiłek kosztuje rubli 50, tyleż bęben — więc 100 równe dla mnie, po 10 dla podoficerów i po jednym rublu dla prostych. — Zgoda? — mawia oficer.

— Zgoda! — odpowiadają doświadczeni aresztanci z gotowością, jeżeli pogoda piękna i dzień świąteczny, — targują się zaś, jeżeli nie ma po ich stronie korzystnych warunków.

Niedoświadczeni — dziwią się takiej ugodzie, widząc, że ze skarbowych pieniędzy nie zbiorą nigdy tej sumy, choćby się wszyscy na to złożyli — aliści nie dójdą jeszcze do rogatki, a ich obawy znikają. Partya idzie wolnym krokiem, a do tego nie temi ulicami, które prosto do rogatki prowadzą i na marszrucie są wskazane, lecz temi, które wypełnione są handlującymi a głównie bogatymi dobroczynnymi kupcami. Partya idzie w porządku niezmiennym — najprzód katorżnicy w kajdanach,

w środku posileńcy bez oków na nogach, lecz za to za ręce przykuci po czterech do łańcucha, z tyłu także do łańcucha przykute idą za nimi kobiety skazane do katorgi — w końcu nieunikniony obóz z bagażami, słabymi, żonami i dziećmi itd. Po bokach, z przodu i z tyłu idą konwojni żołnierze i jadą kozacy. — Popatrz się na tę partyę w śróde w Petersburgu, — idź za nią do Moskwy, do Jekaterinenburga — przypatrz się jej pod Tobolskiem, zawsze ona jednakowa. W obrazkach tych od czasów Sperańskiego widać jednostajność i niezmiennność.

Nawykły do podobnego widoku, dopatrzy zapewne w tej foremności jakiś rodzaj fałszu i naprężenia, gdyż ona ściąga się i rozwija w pochodzie przez miasta, a rozwiązuje swobodnie za miastem. Tak zresztą i być powinno. Nie trudno dopatrzeć, że ta podrobiona foremność istnieje tylko dla Rossyi i w Rossyi. W Syberyi aresztanci swobodni. Tam nikt się nie ubiega za paradnym porządkiem, czem zresztą zobowiązuje sobie aresztantów, więcej w ogóle zadowolonych drogami sybirskimi niżeli rossyjskimi. To też zwykli ci ostatni mówić:

— Do Tiumeni idziemy, niesiemy kajdany na sznurach, które zakładamy prosto na szyję po rossyjsku. Kajdany gniotą szyję i ramiona, gdyż i tak są ciężkie same. W Syberyi niesiemy kajdany na rzemyku u pasa — po sybirsku lżej. Po Syberyi swobodniej idziem, lżej też myślím. — A myślím tak: jeżeli dla cię władza łagodna, to znaczy że w swoje trafiłeś strony, a choćby one nie zupełnie tu były, to zawsze ztąd nie daleko. Syberya tem dobra, że nie każe kłamać — w Rossyi udawaj pokorę, a za węglem rób co chcesz. W Syberyi idź jak chcesz i nie taj się z tem, jakim jesteś; nie ci za to nie będzie. W Rossyi myślą, że ty najgorszym jesteś człowiekiem, skoro „straciłeś zegarek a pozyskał łańcuszek“, lecz w Syberyi wiedzą, że nie jesteśmy gorsi od drugich, ani lepsi od nich. Żyją sobie tam swobodnie gorsi od ciebie, a ty na powrozie dla tego idziesz, że głupszym byłeś od drugich. — Ujęto cię, boś nie umiał dobrze się chować.

(C. d. n.)

## CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

### I.

Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. -- Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm. -- Cele i widoki zakonu. -- Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniałej nauki moralnej, niedozwolonego handlu i królobójstwa.

(Ciąg dalszy.)

A że takie wyrzeczenie się rozumu i woli bynajmniej nie jest naturze ludzkiej wręcz przeciwnie, jak to utrzymuje wielu, ani ubliża godności ludzkiej, ale owszem nowego dodaje jej blasku, o tem nas przekonują liczne dowody z codziennego naszego życia.

Czyż nie jest największą zaletą u dzieci, kiedy dla nich wszystkim jest wola i zdanie ojca lub matki? A owi rycerze średniowieczni nie wyrzekaliż się rozumu i woli dla namiętnie pokochanej osoby? A czyż to nie dowodziło bądź co bądź szlachetnych uczuć ich serca? Takich wypadków czyż nie spotykamy i dzisiaj?

Powiem więcej. Któż nie wie, jaka jest potęga geniuszów? Jestem przekonany, że za czasów Napoleona I niejeden osiwił w bojach hetman odmienił swoje zdanie w sztuce wojennej jedynie dla tego, że Napoleon miał takie; a wszyscy bez wyjątku byli gotowi pójść na pierwszy ogień na śmierć pewną, za pierwszym jego skinieniem i szli rzeczywiście. Zdania jego o fortyfikacjach już w kilkanaście lat po jego upadku przyjmowano ślepo, nie wazono się nawet je rozbierać, chociaż w praktyce okazało się istotnie mylnem<sup>1)</sup>. Pytamy się, któż złamał ową twardą wolę, któż zgiał owe twarde rozумы? Geniusz wojenny — prawda — ubóstwiano Napoleona.

W powstaniach lat 1794 i 1830 była chwila, że słowa Kościuszkiego i Chłopickiego uchodziły za wyroki boskie i nikt nie śmiał je zakwestyonować. To był powiadam szal patryotyczny. W pogańskim nawet świecie mamy przykłady takiego wyrzeczenia się rozumu w uczniach Sokratesa. Najzawziętsze spory najsprzeczniejszych zdań filozoficznych uciszowało to jedno słowo: *αὐτοῦ ἐστὶν* powiedział. Powaga mistrza krępowała rozумы owych przyjaciół mądrości.

Otóż Jezuita długą a wytrwałą nad sobą pracą staje na tym samym szlachetnego zaparcia i wyrzeczenia siebie stopniu co owo dziecko względem rodziców, rycerz względem swego hetmana, młodzie-

<sup>1)</sup> Mam tu na oku ów trójkąt fortyfikacyjny, od Modlina przez Sierock do Warszawy. Napoleon I uważał ten trójkąt za klucz pozycyi w kampanii 1812 r., gdyby na polskiej ziemi bić się wypadało. Słyszeli o tem Polacy — w powstaniu więc listopadowem trzymali się ślepo tej zasady, gdy tym czasem i rozum i późniejsze wypadki wskazały jej mylność — bo Polska z Rosyją tylko na równinach Wołynia i Podola zmierzyć się może.

niec względem swojej narzeczonej, zostaje na nim całe swoje życie: gdy zaś tamtych szal chwilowy, entuzjazm lub cześć bałwochwalcza na czas tylko krótki postawić zdołała. Na co więc ci ludzie zdobyć się potrafili w najszczytniejszym porywie duszy, to u Jezuity jest rzeczą zwyczajną i stać mu się musi drugą ich naturą.

I z tego to posłuszeństwa bierze swój początek wielkość moralna zakonu. Jezuita są rzeczywiście zakonem potężnym, czego prostym przekonywującym dowodem jest już ta okoliczność, że mają, jak wszystko co jest prawdziwie wielkie na świecie<sup>1)</sup>, wielu wielbicieli i wielu nieprzyjaciół, ale cała ich potęga i siła czerpana w ślepego posłuszeństwie.

*Mickiewicz* w „kursach literatury“, *de Maistre* w „wieczorach petersburskich“ czyni piękne a trafne uwagi nad ową tajemniczą, magiczną prawie siłą, jaką nadaje zapal i to wewnętrzne przekonanie o wielkości swego posłannictwa. Pierwszy przypisuje wszystkie zwycięstwa Suwarowa, jedynie temu, że umiał tchnąć w żołnierza swego zapal i wzbudzić w nim nieograniczoną ufność w wodza<sup>2)</sup>; drugi utrzymuje i dowodzi historią, że bitwę rozstrzyga nie siła oręża, nie taktyka wojenna, ale jedynie to wewnętrzne przekonanie; zwyciężymy; jeszcze przed stoczeniem bitwy kampania jest już prawie przegraną po tej stronie, która pierwsza wątpić poczęła o zwycięztwie swej broni<sup>3)</sup>. Jakkolwiek nie zawsze prawdziwą okazała się w praktyce podobna doktryna, temu jednak nikt przeczyć nie może, że w przeprowadzeniu trudnych rzeczy wiele znaczy ta świadomość i pewność siebie, to przekonanie: podolał pracy; jak znów największą przeszkodą jest ów upadek na duchu, który nazywamy zwątpieniem. Tożsamo powiedzieć o przeciwnościach i przesławowaniu;—słabe umysły łamią się nimi i kruszą, ale kto umie sobie powiedzieć: wytrzymam, znoję, — ten nabiera więcej jeszcze hartu i siły.

Jezuita w każdej swojej czynności, w każdym położeniu ożywiony jest tym zapalem i tą pewnością siebie, która tak wielki wpływ wywiera na sprawy ludzkie a nieraz na wypadki dziejowe. Nie jest to nieograniczona wiara i ufność w siebie, ale wiara wynikła z ślepego posłuszeństwa. Bo wychodząc z pewnika, że „co starszy każe, Bóg każe i wola jego jest“ przychodzi się bardzo loicznie do przekonania, że kiedy taka wola Boża, to i pomoc Boża nie ominie, abym ją spełnił; ten który mi w osobie starszego rozkazał, ten da mi łaskę do wykonania rozkazu, ztąd pewność że się udać musi, ztąd znów wytrwałość i energia w przeprowadzeniu mimo największych trudności; ztąd wyteżenie wszystkich sił umysłu i talentów, ztąd ufność w sobie i pewność siebie, bo jak słusznie uważa Czartoryski w życiu Jul Niemcewicza: „wiara w Boga, rodzi wiarę w siebie“.

<sup>1)</sup> Tak n. p. najwięksi papieże: Inocenty III. i Grzegorz VII. okrzyczani od wielu, znaleźli obrońców. Napoleona uwielbiali jedni, drudzy nazwali szalbierzem.

<sup>2)</sup> Kursa lit.

<sup>3)</sup> Soirées de S. Pétersbourg t. 1.



Skoro więc pojedynczy członkowie zakonu biorą się do każdego dzieła z taką pewnością siebie, z takim niezłomnym przekonaniem o pomyślnym skutku swych działań, to zbiorowa praca całego zakonu, przy owej niezmordowanej a sumiennej pracowitości, jaka właściwa każdemu Jezuitcie, i przy swej świadomości celu, którym jest chwala boża i bliźnich zbawienie, przybrać musi prawdziwie olbrzymie rozmiary. Jakoż istotnie przyjaciele i nieprzyjaciele Jezuitów nie mogą zaprzeczyć ogromu i doniosłości ich czynów.

Zdaje mi się, że kwestya ślepego posłuszeństwa nie zostawia nic do życzenia, jak tylko ograniczenie przedmiotu, na który ono rozciągać się powinno: to jest pozostaje rozwiązać pytanie, czy Jezuita we wszystkim i bez możliwości jakowego zatrzeżenia winien być ślepo posłusznym?

Odpowiadam słowami reguły 31 sumaryusza. „Wszyscy... niech usiłują, aby mieli wewnętrzne i prawdziwe zaprzeczenie własnej woli i zdania swego <sup>1)</sup>, woła i zdanie swoje z tem, co się starszemu podoba i widzi we wszystkich rzeczach gdzieby się grzech nie pokażywał, zupełnie zgadzając“. Więc we wszystkim, nawet choćby starszy, jak taż sama reguła powiada „co trudnego i ciału przeciwnego rozkazał“ winien każdy „zupełnie ochotnie, mężnie i z winną pokorą bez wymówek“ <sup>2)</sup> być posłuszny. Jeżeli jednak w rozkazie starszego byłoby coś, co trąci lub jest istotnie grzechem, wtenczas poddany wolny jest od posłuszeństwa.

Zakończając ustęp o ślepem posłuszeństwie, zwracam uwagę czytelnika na bezpośrednie wnioski, jakie się ztąd wyprowadzić dadzą.

Najprzód upada sam przez się ów tyle kroć powtarzany zarzut, jakoby Jezuitci byli zwolennikami zasady, i nawet praktycznie ją zastosowali: „cel uświęca środki“. Bo jezuita nic nie czyni z swej woli, tylko z posłuszeństwa, a z posłuszeństwa nie może mu być nic rozkazane co potrzebuje uświęcenia, co więc jest złem samo przez się, co jest grzechem.

Maksyma „cel uświęca środki“ ma za autora Machiavelego a za zwolenników miała i ma gabinety, ministrów i owych radykalnych pisarzy i krzykliwych rewolucjonistów, Jezuitci nigdy jej nie holdowali i nikt nigdy nie dowiedzie, żeby kiedy zakon Jezuitów pochwalał czy to piórem, słowem lub czynem jakim głoszoną ową maksymę „cel uświęca środki“.

Drugi wniosek, ale sofistyczny wniosek, czyniony zwykle przez ludzi rozsądnych, niedostatecznie jednak poinformowanych w posłuszeństwie, jezuitkiem, jest następnej osnowy: Jezuitci są zwolennikami rządów despotycznych, a to dla tego, bo nie mając sami swojej wolnej woli, nie umieją jej szanować u drugich, czego najlepszym dowodem Ferdynand II i królowie Hiszpanii i Francji, którzy mieli Jezuitów za spowiedników i kaznodziei, a poddane ludy odarli z wszelkiej autonomii.

<sup>1)</sup> Na czem, jak wskazałem, zależy istota ślepego posłuszeństwa.

<sup>2)</sup> Słowa tejsze reguły.

Na ten prosty argument dadzą się sprowadzić wszystkie wywody i obszernie nawet rozprawy mające na celu wzbudzić obawę i niechęć przeciw Jezuitom, jako zakonowi nieprzyjaznemu narodowości i wszelkim pojęciom samorządu i wolności

Otóż ten argument jest sofistyczny, najprzód dla tego że, kwestye posłuszeństwa Jezuitów, która jest czysto-religijną i ascetyczną, sprowadza na pole czysto polityczne i z tego stanowiska dopiero wnioski wywodzi; potem dla tego, że nieuwzględniając wypadków dziejowych i tego zwrotu politycznego, jaki wywołać musiała reformacja, absolutne dążności wspomnianych królów przypisuje jedynie i wyłącznie Jezuitom.

Zakon Jezuitów jako zakon nie ma żadnego wyznania politycznego, nie holduje ani idei despotyzmu ani pojęciom liberalnym, ma swój rząd (bo żadne zgromadzenie bez rządu ostać się nie może) monarchiczno-konstytucyjny, i taki jest mu dogodny i odpowiedni, ale nie narzuca tej formy rządu żadnemu społeczeństwu politycznemu lub zakonnemu, zostawia każdego przy swoim rządzie, bo nie na to został ustanowiony aby rządów formę zmieniał, ale na to aby ludziom, pod jaką bądź formą rządu zostającym, pomagał do zbawienia. Kto więc podkłada zakonowi tendencje absolutne, ten naciąga wyraźnie swój wywód. I nie tu nie pomoże argument, że zakon dla absolutnych swych instytucji z natury swojej przeciwny jest autonomii i swobodzie ludów, bo, jak powiedziałem, rząd jezuitcki nie jest despotyczny ale konstytucyjny, a każde prawo jako prawo absolutne być musi, aby nie można wybiegać z pod niego, inaczej wkradnie się nieład, jak się to stało w Rzeczypospolitej polskiej, gdzie wszystkie instytucje były elastyczne.

Powtarzam więc raz jeszcze, że zakon jako zakon nie miał i nie mógł mieć żadnego wyznania politycznego, któremu by holdował<sup>1)</sup>, i w całym instytucie nikt nie znajdzie choćby jednego słowa, któreby

<sup>1)</sup> Roku 1847 dnia 27 sierpnia dziennik *Courier Francais* umieścił pismo korespondenta swego z Rzymu, który Jezuitów nazwał „stronnictwem wsteczne” i „austriacko-jezuickiem”. Na co generał zakonu ks. Roohtan wystósował do redaktora dziennika list, umieszczony w tymże, gdzie między innymi czytamy co następuje:

„Prawdziwi Jezu'ci t. j. członkowie Towarzystwa Jezusowego, nigdzie nie są ludźmi stronnictwa, stowarzyszenie nasze stanowi zakon solennie przez kościół potwierdzony; jego cel jedyny określa reguła, celem tym chwala Boża i zbawienie dusz, jego środkami wykonywanie przepisów religii i gorliwość jakiej przykład dali apostołowie i ludzie święci wzystkich czasów; innych środków nie zna. Polityka mu jest obcą, nigdy się z jakimkolwiek bądź stronnictwem nie złączyło; jego powołanie wyżej po nad stronnictwami się mieści. Posłuszne kościołowi, na jego rozkazy jest w gotowości iść wszędzie, gdziekolwiekby chciał go użyć. Potwarz chętnie rozpusza zdradliwe pogłoski o Jezuitach mieszających się do intryg politycznych; niechże mi kto wskaże choć jednego zakonnika z moich podwładnych, któryby w tej mierze odstąpił od ducha i od najwyraźniejszych przepisów naszej reguły.

.....Niech mi wolno będzie raz na zawsze wyłomaczyć, jakie położenie zajął zakon Jezuitów i jakie pragnie zachować względem rządów, pod którymi

dowodziło, że zakon formę rządu monarchiczną nad inną przenosi, owszem mnóstwo jest miejsc, gdzie instytut zaleca jak najwyższy szacunek i ogłębność dla wszelakich <sup>1)</sup> już istniejących instytucji politycznych: „dla wszelkich“ zatem i dla autonomicznych. Co innego zaś jest z pojedynczymi członkami zakonu. W tym względzie instytut nie przepisał, zostawił każdemu zupełną swobodę, zalecił tylko roztropność, aby swoich pojęć drugim bez rozwagi nie narzucać, lub na istniejącą jakąbądź formę rządu nie powstawać. Wolno więc Jezuitom, jak wolno każdemu, Polakowi, Niemcowi, Włochowi, Amerykaninowi, w swem rozumieniu i przekonaniu przenosić liberalne konstytucyjne rządy nad monarchiczne; i odwrotnie, ale jak za to nikt nie wini tamtych, że tym lub owym przekonaniem holdują, tak nikt Jezuitom za złe wzięść nie może, że ma takie lub owakie w tej mierze zdanie. Wszak w jednej rodzinie, ojciec chwali rząd konstytucyjny, syn republikański, stryj federacyjny, a znów ktoś czwarty, że najlepszy jest rząd jednego, czyż dla tego cała ta rodzina ma mieć tendencje absolutne? To samo rozumieć o zakonowej rodzinie. Zakon Jezuitów, to bardzo liczna familia, członkowie tej familii mają, przynajmniej mieć różną, różne pojęcia o formie politycznych społeczeństw, jeden nie narzuca ich drugim, ani drudzy jednemu, i dla tego nie targa się zgoda i obopólna miłość między nimi; nikt jednak ztąd rozumnie wniesć nie może, że zakon holduje ideom despotyzmu. Znałem jezuitów, którym nadzwyczaj podobaly się urzędzenia amerykańskie, a mimo to chętnie i gorliwie pracowali w krajach monarchicznej Austrii, ale za to re-

zyli jego członkowie. Równie jak kościół, zakon Jezuitów nie ma wstrętu ani wyłącznego pociągu do konstytucji politycznych pojedynczych państw. Członkowie jego zgadzają się w szczeroci na wszelki kształt rządowy, pod jakim opatrtność żyć im przeznaczyła, nie zważając czy rząd pokazuje im przychylność, czyli też tylko ogranicza się do szanowania w nich praw, jakie mają wszyscy obywatele kraju.

Jeżeli instytucje polityczne kraju, w którym mieszkają, są złe, znoszą ich niedostatki; jeżeli są doskonałe, przyklaskują ulepszeniom; jeżeli dają nowe swobody ludowe, upominają się o część swobód i dla siebie, jeżeli rozszerzają drogi wolności, korzystają z tego żeby zwiększyć rozmiary dzieł dobroczynności. Wszędzie uchylają głowy przed jednym dla wszystkich prawem, szanują władzę, przyjmują wszystkie uczucia dobrych i wiernych obywateli, dzielą z nimi ciężary, próby i pomyślnie koleje. W oczach Jezuitów wyższy interes nad wszystkimi innymi panuje, szczęście ludzi w lepszym i trwalszym życiu. Wszędzie gdzie ten cel podobny jest do osiągnięcia, Jezuitom przywiązują się do kraju. Oto są zasady Jezuitów w obec rządów i rozmaitych konstytucji politycznych; oto droga, którą sobie wytknęli, i z której mają nadzieję, że nie zejda.

Nie jestże to samo słowo w słowo, co ja powiedziałam? A muszę dodać, że list ś. p. ojca Roothana wpadł mi pod ręce dopiero w kilkanaście dni po napisaniu niniejszego ustępu. Tłumaczenie wyjąłem z Przeglądu poznańskiego roku 1847 t. IV. str. 637, 638.

<sup>1)</sup> Z tąd inni wywodzą kosmopolityzm Jezuitów, o tym kosmopolityzmie zaraz niżej.

czyć mogą, że żaden Jezuita nie pochwalił nigdy rządu takiego jak rossyjski.

Równie błędne są owe przypuszczenia, że Jezuita nie mając swej wolnej woli, nie umia jej szanować w drugich i że wszystkich chcą wodzić na pasku. Jest to fałsz psychiczny. Kto nigdy nie był wolnym, przyznając, że nie umie ocenić wolności, ale kto był panem siebie i dobrowolnie, z miłości bożej wyrzekł się swej woli, ten przez to nie zapomniał umieć ją szanować w drugich, owszem tem wyżej ją ceni i szanuje, jak się cenić zwykło wszystko to co się kiedyś utraciło. Zresztą całkiem co innego jest wolność osobista, wolność działania, a co innego wolność polityczna; całkiem co innego jest posłuszeństwo dobrowolne z rozmysłem z miłości ku Bogu i zbawieniu duszy swojej na siebie przyjęte, a co innego konieczna uległość winna politycznym rządóm. Ci panowie mieszają jedno z drugim, identyfikują rzeczy zupełnie od siebie różne i potem wołają: Jezuita dążą do absolutyzmu. Taki sposób argumentowania nie może się ostać w obec prawdy i rozumu <sup>1)</sup>. Tembardziej, że dowody na to czerpane niby z historii chromają na wielki brak zdrowej loiki.

<sup>1)</sup> Onym krzykiem na absolutne tendencje Jezuitów kłam jawny zadają fakta historyczne w bieżącym wieku dokonane.

I. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Jezuita zakładają dwie szkoły główne w Georgetown blisko Washingtonu i w Saint-Luis, w Missouri, kolegia i missye w Washingtonie, w Marylandzie, Pensylwanii, Kolumbii, Filadelfii, Bostonie, Nowym-Jorku, Nowym-Londynie, Luisianie i Jefferson. W przeciągu lat 40, od 1803 — 1844 liczba Jezuitów w tych stronach wzrosła z 13 na 254. Co ważniejsza, Jezuita pozyskali sobie zupełne zaufanie prezydentów i Jefferson Adams, Jackson von Buren, byli ich osobistymi przyjaciółmi. John Tyler bywał na rozdaniu nagród szkoły w Georgetown, darował Jezuitom kolekcją archiwów angielskich, a w nagrodę usług publicznych dozwoliły Stany, bezpłatne miejsce na pocztach i kolejach rządowych podróżującym Jezuitom. Kiedy w czerwcu r. 1834 robotnicy Irlandyi przy kolei washingtonskiej bunt podnieśli i nawet regularnemu wojsku uspokoić się nie dali; rząd zawezwał Jezuitę Mac-Elroy, aby uśmierzył wzburzone umysły, co mu się też wybornie udało. Znów kiedy roku 1843 dnia 4 lipca obchodzono rocznicę oswobodzenia Ameryki, Jezuita Larkin miał w obec prezydenta, urzędów, stanów i nader liczne zebranie mowę, która znalazła chlubną ocenę w dzienniku protestanckim „*The Advertiser* z dnia 7 lipca. Podobnych przykładów mógłbym podać więcej. (Cretineau-Joly t. 6. rozdz. 6.) Jestże więc prawdą, że Jezuita są nieprzyjaciółmi wolności, kiedy nawet demokratyczne rządy opiekują się nimi.

II. Rzeczpospolita meksykańska odrywając się od matki swej Hiszpanii (r. 1817) podaje za jedną z przyczyn tego kroku, „że nas samowolnie pozbawiono OO Jezuitów, którym my winni jesteśmy naszą społeczność, cywilizacją, wychowanie i inne usługi, bez których obejść się nie możemy“. — Więc nawet wybitcie się na wolność i polityczna niezawisłość nie stoi w sprzeczności z Jezuitami.

III. Katolickie kantony Szwajcaryi, rządzone demokratycznie przyjęły do siebie Jezuitów wygnanych z Francyi, i potrzeba pierw było radykałom prze-

Fakt jest, że od drugiej połowy XVI wieku a mianowicie od traktatu westfalskiego monarchowie i rządy usadzili się na to, aby wszelką władzę stowarzyszeń, zgromadzeń i t. p. skupić, zlać, zcentralizować w sobie i dopieł swego. Traktatem westfalskim położony kamień węgielny pod budowę monarchizmu despotycznego. Wiele do tego, bezwątpienia przyczyniła się reformacja, która obalając istniejący porządek rzeczy a nie umiając postawić drugiego, sprowadziła w ludy i państwa zamęt, i zaumiejętą nienawiść; z czego naturalnie korzystali panujący, i w imię przywrócenia swobody i porządku przywłaszczyli sobie powoli całą władzę.

Nie pomału przyczyniła się też do tego przebiegłość takich ministrów jak Richelieu i Mazzarin, najzgubniejszym jednak w tej mierze czynnikiem była przewrotna niechrześcijańska polityka gabinetów.

Jezuici byli spowiednikami i kaznodziejami królów, nie tylko w Niemczech i Francji, lecz na wszystkich dworach katolickich, byli spowiednikami i kaznodziejami, ale też tem tylko. Dwa te bardzo ważne urzędy przy królach sprawując, mieli i musieli mieć pewien wpływ na sprawy publiczne, ale był to wpływ cechy czysto religijnej, nie zaś politycznej. W trudniejszych bowiem sprawach narażających na szwank sumienie, do kogóż mieli się udać królowie, jeżeli nie do spowiednika? Jezuita spowiednik, nie jak Jezuita, ale jako spowiednik, jako rządca

grać kilka krwawych bitew, wypróbować wszystkich środków potwarzy i postrachu, nim udało się im r. 1848 wydalić Jezuitów.

IV. Belgia pozbywszy się, samowoli Wilhelma Nasawczyka otworzyła swe granice Jezuitom. Liczba ich od r. 1834—1845 wzrosła 117 na 454 Kolegium w Brużlecie równie jak Fryburskie w Szwajcaryi zyskało europejską sławę. Leopold I. lubo protestant dawał jawnej przychylności dowody. Był obecnym na rozdaniu nagród w kolegium Namurskiem, gdzie przemawiając do Ojców wyraził się między innemi, „*Ce qui me plaît surtout, Messieurs, c'est l'education vraiment nationale, que vous donnez à la jeunesse*“. (*Ami de l'Orde de Namur*). A więc i z rządami konstytucyjnymi dadzą się pogodzić Jezuitci.

Jakże sobie więc wytłómaczyć one krzyki na despotyzm i absolutyzm jezuitski, na antynarodowe, antykonstytucyjne ich usposobienie? Rzecz bardzo prosta. Jezuitci w skutek swej cechy czysto katolickiej i wskutek silnej rządnej organizacyi i trzechwiekowej tradycyi są naturalnymi nieprzyjaciółmi wszelkiej nielegalności i na swawoli opartej polityki, przyjmują się wybornie w wolnych ale legalnych państwach jak w Anglii, Stanach Ameryki, prześladowani i gnębieni są w państwach samowolnych z bezprawia powstałych i na bezprawiu opartych jak dziś n. p. w Cesarstwie rossyjskiem; zarówno nienawidzi ich tyrania moskiewska jak bezbożna rewolucyjna wolność włoska. W tem też szukać należy rozwiązania trudnej na pozór zagadki, dla czego nie tylko jawni nieprzyjaciele kościoła i heretycy, ale nadto przyjaciele rewolucyi, hołdownicy jej zasad i orędownicy nowinkarzy wrogimi są dla Jezuitów, to też najpewniejszą zapowiednią nowych na istniejący porządek rzeczy zamachów, są kroki zmierzające do pozbycia się Jezuitów. Nie „wolność“ to, nie, ale „rewolucya“ i tyranizm despotów nienawidzi Jezuitów, tak samo jak nienawidzi kościoła i prawa, sprawiedliwości i porządku.

sumienia, podawał wtenczas radę, jaką za najlepszą w obec Boga i sumienia swego osądził, królowi wolno było pójść lub nie pójść za nią, Historycy i między nimi Kantu<sup>1)</sup> dorozumiewają się, że ów edykt restytucyjny (Restitutionsrecht) Ferdynanda został wydany z natchnienia Jezuity spowiednika. Niech i tak będzie, powiem więcej, niechajby i wszystkie kroki Ferdynanda przeciw protestantom pochodziły z tegoż źródła, cóż ztąd? Można będzie winić, mierząc dawne czasy dzisiejszym łokciem, owego jednego Jezuitę spowiednika ks. Lamormaina, ale nie cały zakon. O królach francuzkich, opierając się na historii śmiało twierdzę, że w sprawach państwa, nie szukali oni nigdy rady u spowiednika lub kaznodziei Jezuity. Ów zimny, wyrafinowany, egoistyczny Ludwik XIV nie pytał się zapewne swego spowiednika, czy godziło się w obec sumienia lub nie, podżęgać potężną natenczas Turcyą przeciw niemieckiemu cesarstwu i poruszać w tym celu wszystkie sprężyny intryg, podejść i kłamu, jedynie dla tego, aby dla swojej Francyi wywalczyć hegemonią w Europie. Ztąd równie słusznie wnieść mogę, że nie radził się spowiednika Jezuity w owych licznych rozporządzeniach ścieśniających coraz bardziej swobody poddanych i zamieniających szlachtę francuzką na prostych dworaków, historja przynajmniej na to ani jednego nie podaje dowodu. Któż nie wie z jaką cywilną odwagą występował kaznodzieja Jezuita Bourdalou przeciw osobistym występkom króla? Któż nie wie że Ludwik XV, ów najnie-moralniejszy z królów, za spowiednika i kaznodzieję miał Jezuitę? A przecie nikt niegodziwych i gorszących związków tych królów z p. Mainteneau, Pompadour i Dubarry nie kładzie na karb Jezuitów.

Jeżeli więc nie słusznie i rozumnie zepsucia Ludwików nie przypisuje winie Jezuitów, czemuż winie Jezuitów przypisuje dążności absolutne tych monarchów, zwłaszcza że sprawami państwa nie tyle oni sami jak raczej ich ministrowie Richelieu, Mazzarin, Colbert Fleury i Choiseul zawiadywali? Jest to uderzająca niekonsekwentność, i tylko zaślepiony uprzedzeniem lub nienawiścią umysł nie może jej dostrzedz<sup>2)</sup>.

Wreszcie pytam. Jeżeli Jezuici koniecznie już mieli być sprawcami, i to jedynymi a przynajmniej głównymi sprawcami, despotycznego monarchizmu w Niemczech i Francyi a dajmy na to w innych nawet katolickich państwach, czemuż państwa akatolickie nie zatrzymały swych dawnych feodalnych i mniej więcej liberalnych instytucyi, ale owszem nierównie gorszym odznaczyły się despotyzmem? Wszak Elżbieta angielska srogimi mękami gubiła Jezuitów, a przecież rządów jej nie można nazwać inaczej jak srogą tyranją; wszak akatolickie księstwa niemieckie nie cierpiały u siebie Jezuitów, atoli były najdespotyczniej przez swych książąt, landgrafów i grafów rządzone?

Jak to wytłómaczą nieprzyjaciele tego zakonu?

<sup>1)</sup> Kantu t. 10 str. 46.

Brühl w dziele: *Geschichte der Gesellschaft Jesu. Würzburg 1856 cap. 13*, uniewinnia zupełnie z tego zarzutu Jezuitów.

<sup>2)</sup> Ponieważ politycznym wpływem Jezuitów osobny rozdział poświęcę, przeto ograniczyłem się tutaj na tych krótkich uwagach.

Wszystkie te wołania i skargi na ten zakon nie mają najmniejszej podstawy historycznej: podnieśli je ludzie złej wiary, w nadziei, że przy tej nieznamości dziejów (jaka jest powszechną u nas Polaków szczególnie), przy tej bajecznej łatwości, gdzie idzie o sławę i cześć drugich, wybredne ich kłamstwa przyjmują się na dobre i przyznać należy że się nie zawiedli.

Tu także jest miejsce podać kilka krótkich uwag odnoszących się do owego „kosmopolityzmu“ Jezuitów. Uderzają bowiem i w tę stronę wszyscy nieprzyjaciele zakonu, ścieląc sobie drogę do dalszych więcej jeszcze obwiniających zarzutów, które przekonać mają Polaków, że Jezuita zgubili Polskę. Cóż rozumiemy zwykle pod kosmopolityzmem? Rozumiemy łatwość przyzwyczajania się do każdej ziemi, do każdej formy rządu, równą dla wszystkich mając obojętność, byleby tam gdzie się jest, dobrze było. Służy tu za modłę przysłowie „*ubi patria ubi bene*“ a uczucie przywiązania do gleby rodzinnej, uczucie miłości ojczyzny nie ma tu zgoła miejsca. Do takiego kosmopolitycznego usposobienia są z natury najwięcej zdolni Niemcy, najmniej Polacy. Zarzucają więc kosmopolityzm Jezuitom, obwiniają ich o brak przywiązania do ojczyzny, i wynikający z tąd brak tego poświęcenia i zapału w działaniu, tych cnót, że tak powiem, obywatelskich, których matką miłość ojczyzny. My Polacy nadewszystko, którym wszystko zarzucić można ale nigdy braku miłości ojczyzny, widzimy w tem wielką zbrodnię Jezuitów i posadzamy ich o dziwną obojętność graniczącą z formalnym wstrętem przeciw wszystkiemu co polskie Chcemy wyjaśnić ten punkt sporny.

Jezuici w skutek swego powołania są dla wszystkich krajów i wszystkich ludów, dla wszystkich państw i form społecznych, co wyraźniej wypowiada reguła 13 sumarynsza: „naszem powołaniem jest rozmaite miejsca nawiedzać i w którymkolwiek świata kraju żywot wieść, gdzie jest tylko nadzieja spełniania służby bożej i wspomagania dusz“.

W tem mają wspólność z wszystkimi kapłanami i z całym kościołem katolickim, bo ten sam cel jest Jezuita co każdego katolickiego kapłana, co całego kościoła własne i bliźnich zbawienie. I byłoby to najwyższą niedorzecznością, największą ujmą zakonu, gdyby w pracach swych apostołskich przeniósł Polaków nad Niemców, Francuzów nad Hiszpanów itp. Z poświęceniem się więc swojemu, z całym zasobem wiedzy i moralnej cnoty Jezuita stoi, i stać musi na usługi każdego zarówno narodu. Tego wymaga po nim świętość powołania. Czy wynika jednak z tąd obojętność granicząca ze wstrętem dla ojczyzny? Naciągamy tu widocznie rzeczy, sprowadzając kwestyę z jednego pola gwałtem na drugie. Miłość ojczyzny jest uczuciem wrodzonym, cnotą naturalną, owa zaś gotowość na usługi duchowne po wszystkich krajach, i dla wszystkich narodów, jest usposobieniem nadprzyrodzonym, cnotą nadnaturalną, czysto religijną. Nadnaturalne cnoty nie wykluczają cnót naturalnych, owszem te nabywają mocy i tęgości od taitych: zatem można być gotowym na apostołowanie po wszystkich krajach, nie wyzuwszy się z tego wrodzonego przywiązania do ojczystej ziemi. My

pomawiając Jezuitów o kosmopolityzm, uważamy owo wzniosłe nadnaturalne usposobienie, przez które Jezuita chętnie w każdym kraju, w każdym narodzie pracuje, byle tylko był ztąd pożytek dusz i chwała boża, my to uważamy za uczucie naturalne, ziemskie i stawiamy je na równi z wrodzoną każdemu miłością ojczyzny. Nie jestże to widoczne naciąganie kwestyi? Czy św. Wojciech nie miał miłości ojczyzny dla tego, że wolał pogańskim Prusakom opowiadać Ewangelią niż zostać w Czechach, w Krakowie lub Gnieźnie dla utwierdzenia w wierze świeżo nawróconych Polaków, jak tego usilnie od niego żądał Bolesław Chrobry? Czy Jacek św. stracił co z swej miłości dla Polski, że z krzyżem i koronką w ręku przebiegał czeskie i ruskie ziemie, miasto pozostać w państwie Piastów? Każdy powie, że nie. Czemuż tedy Jezuita tylko, dla tego że są gotowi apostołować w każdym kraju, u każdego narodu, mają nie mieć tej miłości ojczyzny? Odpowiadamy — tamci byli Święci a Jezuita przecie nie będą chcieli rościć sobie prawa do świętości już za życia. Na to mówię: gorliwość o chwałę bożą i pożytek bliźnich jest nam wszystkim wspólną, dbać o nią jest naszym obowiązkiem. Jak więc ci Święci nie wzywali się z miłości ojczyzny, ale tę świętą naturalną miłość podporządkowali świętszej, wyższej, bo nadnaturalnej miłości zbawienia dusz ludzkich i chwały bożej, tak Jezuita wszyscy w powszechności i każdy w szczególe czynią ofiarę z siebie, podporządkowując to wrodzone uczucie przywiązania do kraju wyższemu, szlachetniejszemu pragnieniu zastawiania się o chwałę bożą i pracowania nad bliźnim zbawieniem.

Lecz my Polacy, wygórowaliśmy uczucie miłości ojczyzny aż do przesady, aż do bałwochwalstwa, wiara i najświętsze obowiązki ustąpić muszą miłości — ojczyzny: według nas miłość ojczyzny nadewszystko.

Owi apóstaci, Czajkowski Boem znajdujący u nas przyklask a przynajmniej uniewinnienie, a od kapłanów żądamy, aby wyrzekli się swej misyi czysto duchownej, a stanęli w szranki parlamentarne lub nawet w oddziałach powstańczych! <sup>1)</sup>

Jezuita polacy pracowali w Polsce i dla Polski, tak jak umieli, z całym poświęceniem i wytężeniem sił umysłu. Wszędzie namacalna

<sup>1)</sup> Zwykle zarzucają Jezuitom, że nie są patriotami. Kto jest patriotą? Człowiek miłujący ziemię, która go zrodziła i wszystko co się jakimkolwiek sposobem z nią wiąże, żadnej ofiary dla niej nie żałujący, bolejący, gdy ojczyzna boje, cieszący się gdy ojczyźnie się dobrze powodzi, wspomagający dobro ojczyzny, radą i czynem i nareszcie modlitwą u Boga. Takimi patriotami są i byli zawsze Jezuita. Żaden Jezuita nie cieszył się jak Wolter z rozbioru Polski, żaden nie tryumfował iż nadzieje lat 1813, 1831, 1848 1863 spełzyły na niczem. Każda pocieszająca nowina. każdy wypadek pocieszał serce jego, chociaż może przewidywał, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Każde smutne zdarzenie raniło boleśnie serce jego, krwawych wypadków i wyniszczenia kraju r. 1863 nikt tak może mocno i żywo nie czuł, jak nie jeden z nich: Jezuita nawet nie Polacy, Włosi lub Niemcy, płakali nad nieszczęściami Polski. Iluż sam słyszałem Niemców Jezuitów ubolewających i litujących się nad nieszczęsną Polską w czasie rzezi galicyjskiej i niczego tak niepragnących jak zmartwychwstania Polski



ich praca, i nikt, powtarzam raz jeszcze, nikt nie potrafi dowieść, że w tem szukali siebie lub żywili dla Polski wrogię intencję.

Z równą gorliwością uczyli w szkołach w Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Lwowie, Wilnie, jak i w drobniejszych miasteczkach polskich: Krośnie, Winnicy, Kownie, Brześciu itp. Z równą gorliwością słuchali spowiedzi i miewali kazania dla panów i szlachty jak dla wzgardzonego gminu; w okolicach błotnistego Polesia, na lesistej Żmudzi, w górzystem Podkarpaciu i Podtarzu, w pośród na pół pogańskich Litwinów i na pół dzikich Kozaków, wszędzie w każdym zakątku Polski znajdujemy missye i osiedlenia Jezuitów; w obozach, pochodach i niewczasach wojennych znajdujemy Jezuitów; Skarga i Młodzianowski mówią kazania o miłości ojczyzny, które dziś jeszcze dziwią i serce wzruszają. Laterna pada na wojennym okręcie ofiarą zjadłości Szwedów. Bembus ginie dzumą w obozie pod Smoleńskiem, Bobola i 40 innych kończy męczeństwem apostołski zawód, Warszewicki z kilkuset braci oddaje ducha na posługach, zamorzony — i my śmiemy jeszcze zarzucać Jezuitom brak miłości ojczyzny! Nie znamy, bośmy nigdy nie czytali historyi Jezuitów w Polsce, a przecie ostatniemi obarczamy ich zbrodniami, i co wstydem i sromotą prawdziwą jest dla nas, kochamy się, lubujemy sobie, mamy formalną radość w tem słośliwym uwłaczaniu ich dobrej pamięci <sup>1)</sup>.

Jużbym chętnie poprzestał na wyżej wypowiedzianych rzeczach i przeszedł do właściwego historycznego przedmiotu, jaki głównie mam tutaj na celu, gdyby nie nowe równo ciężkie przeciw instytucji zarzuty a u nas nie mało rozpowszechnione, by zakon Jezuitów podać w tym większą nienawiść i wzgardę.

Jaki jest cel Jezuitów, pytają ich nieprzyjaciele — jaki jest cel? ten jasno wypowiedziany jest w drugiej regule sumaryusza ustaw. „Ce-

<sup>1)</sup> Nie tylko Jezuitom, ale i innym zakonom okazujemy wrogię usposobienie. My Polacy dziwnie wrażliwi jesteśmy na wszystkie wstrząśnienia społeczne i na to, co duchem wieku zwiemy, a właśnie duch XIX wieku jest niechętny, wręcz nieprzyjazny wierze, kościołowi i wszystkim instytucjom kościelnym. Piękną tę smutną prawdę streścił O. Antoniewicz w „wspomnieniu o klasztorach w Polsce“.

„Cały świat, powiada on, pracując pozornie dla odzyskania wolności, kuje kajdany niewoli; dla uzyskania światła szerzy ciemnotę, dla wskrzeszenia narodowości, dawszy jej spaczony kierunek, wytępia ją z serca; ale właściwy cel tych wszystkich zabiegów jest: zysk materyalny, rozkosz zmysłowa“. Ztąd ta nienawiść ku Bogu, który jedno i drugie potępia, znieważenie tem samem wszystkiego, co jest właściwie wielkiem, świętem, ztąd ta nienawiść ku kościołowi, który w imieniu Boga wyroki swoje wydaje; ztąd ta radość nadzwyczajna przy dostrzeżeniu najmniejszego nchybienia i nadużycia nie przez kościół jako kościół, ale przez pojedynczych, hierarchię kościoła składających ludzi popełnionego; ztąd ta chęć poniżenia, deptania, zniszczenia wszystkich instytucji, które z kościoła się rozwinęły! A że jedną z najpotężniejszych, najważniejszych wpływ wywierających instytucji są zakony, więc przeciw nim całą złość i nienawiść wiek nasz obrócił“.

lem tego Towarzystwa jest nie tylko zbawienie i doskonałość własnych dusz za łaską boską, ale z tąż łaską usilne nad zbawieniem i doskonałością bliźnich pracowanie<sup>1)</sup>.

To są owe oczyszczane widoki i cele zakonu: udoskonalić i zbawić siebie, udoskonalić i zbawić drugich. Wszystko co Jezuita kiedy mówili, pisali i działali, wszystko zmierzało do tych dwóch celów. Ale nieprzyjaciele zakonu odpowiadają, że z bogaceniem swoje miał on tylko na celu? Więc na to do niego wstępowano, aby zakon bogacił? Mówię tu o prowincjach polskich<sup>2)</sup>, bo o Jezuitów w Polsce głównie mi idzie.

Więc ci wszyscy urodzeni w dostatkach i majątku<sup>3)</sup>, co wstępowali do tego zakonu, to tylko na to, aby go bogacił? i to jeszcze w taki sposób, że im samym trzeba będzie żyć w ubóstwie, nie mając i grosza jednego i wytartej sukni do swego rozporządzenia, żyć i domarzać się w jarzmie posłuszeństwa i pracy, a nieraz w pośród niemożebności zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb narażać i tracić zdrowie i życie. Dość wspomnieć Męcińskiego zamordowanego wyszukaniem mękami w Japonii, Rudominę w Chinach<sup>4)</sup>, Bobolę zakłutego przez kozaków, Smoguleckiego umierającego z trudów i nędzy w Makao<sup>5)</sup>: takich Męcińskich i Boboli naliczylibyśmy między Jezuitami polskimi kilkuset. Na toby więc tylko mieli opuszczać rodzinne dostatki, aby nimi bogacił zakon, a życie wieść w nędzy i tułactwie, i ginąć w mę-

<sup>1)</sup> *Finis hujus Societatis est non tantum saluti et perfectioni propriarum animarum cum divina gratia vacare: sed cum eadem impense in salutem et perfectionem proximorum incumbere. Sum. Const. reg. 2.*

<sup>2)</sup> Rozumiem prowincje zakonne; w Polsce były, prowincje Jezuitów: Wielkopolska, Małopolska, Mazowiecka i Litewska.

<sup>3)</sup> Katalogi Jezuitów polskich przechowywane po bibliotekach i tu w kraju i zagranicą pokazują, że najznakomitszych rodzin imiona wpisane były w poczet Jezuitów, przekonac się też można, przeglądawszy bibliotekę Ossolińskich, archiwum OO. Bernardynów, bibliotekę Jezuitów w Starejwsi, w Tarnopolu, w Petersburgu i Kijowie, dokąd ogromne biblioteki Jezuitów z Połocka i Wilna przeniesione zostały.

Nie ma prawie historycznej rodziny, która nie miałaby kogo z pośród siebie Jezuita. Kto nie wierzy, niech czyta Niesieckiego herbarz, który po zabiorze nawet przez rząd austriacki za autentyczny i prawomocny uznany. Wiadomo bowiem, że zaraz po zabiorze Galicyi rząd kazał wykazywać dokumenta szlacheckie; wielom takowe w niespokojach krajowych poginęły, więc rząd ogłosił, że kto z Niesieckiego szlachectwo swoje wywiedzie, ten do listy szlachty państwa wpisanym być może. I tu Jezuita przydał się.

<sup>4)</sup> Z trudów misyjnych w król. Fonkien mieście Fachefu 9 września 1631.

<sup>5)</sup> Ten Smogulecki Michał, nim wstąpił do Jezuitów, był starostą Nakielskim, posłował na sejmie i zasiadał jako deputat na tryb. koronnym. Czytaj Niesieckiego.

kach. Na to potrzebaby być chyba warjatem. To wszystko wiedzą, przynajmniej wiedzieć powinni pewni literaci a przecie wolają: Jezuici pragnęli z bogacić się. Wiele jeszcze, bardzo wiele, daloby się w tej mierze powiedzieć, gdybyśmy rzecz całą wziąć chcieli ze stanowiska nieco filozoficznego <sup>1)</sup>. Nedorzeczność podobnego twierdzenia byłaby trudną do wiary. Wszystko to ma swe źródło najprzód w złej wierze i uprzedzeniu a potem w nieznajomości rzeczy.

A jeżeli hojność królów polskich, biskupów i szlachty polskiej nadała Jezuitom piękne majątki, które obudzają dzisiaj gniew i zazdrość, to i cóż w tem zdroźnego być może? Czyż one zdobyte zostały podstępem, intrygą i podchlebstwem Jezuitów? Czytałem wielką część pism i dzieł wrogich zakonowi i całe trzy lata wyłącznie na tej niewdzięcznej pracy strawiłem, wiele w nich znalazłem powtarzań, aż do znużenia, że różnemi krętymi drogami Jezuici przychodzili do ogromnych majątków, a na dowód tego, choćby dla tego tylko, aby móż powiedzieć „*ex uno disce omnes*“ ani jeden fakt, ani jeden dokument nie został wcale przytoczony. Ani jednego szczegółu o tej jezuickiej sztuce zdobywania fundacyi doczytać się nie mogłem, nad powtarzane ustawicznie wytarte ogólniki: Jezuici wszelkiemi sposobami dążyli do z bogacenia się, wydrwiwali fundacye groźbą mąk piekielnych, zdobywali na konających bogate zapisy i dzięki tej potwarczej wielomówności dzisiaj jeszcze, gdzie nie tylko nikt żadnych nie czyni legatów Jezuitom, ale wydarłby jeszcze i to nawet co posiadają, dzisiaj jeszcze jest wielu tak łatwowiernych czy ograniczonych, którzy wierzą, że Jezuici są niebezpiecznymi spowiednikami konających osób. Otóż kto tak pisze bez żadnego dowodu, ten jest zwyczajnym tylko oszczercą, nie historykiem ale fałszerzem historyi.

Jezuici mieli w Polsce, prawda, wielkie majątki, ale któryż zakon ich nie miał? Nikomu nie przyszło na myśl brać innym zakonom za złe, że hojnie uposażono ich klasztory, nikt nie powiedział, że celem ich było z bogacenie się, czemuż gniewamy się o to na Jezuitów, czemuż przypisujemy im widoki i cele wcale nie zakonne? Gdzież w sądach naszych sprawiedliwość?

Jezuici mieli majątki, ale czy używali ich na zbytki i wystawność? Tak, była pewna wystawność i przepych, ale w kościołach jezuickich, w całym przyborze kościelnym i w sprawowaniu służby bożej. Jeden z naszych literatów, nie pomnę już który, gniewa się na tę okazyłość nabożeństwa i ceremonie po świątyniach Jezuitów; mówi, że

<sup>1)</sup> Jaka n. p. pociecha i satysfakcyja dla człowieka chciwego bogactw, że 3000 ludzi (bo tyle było Jezuitów w Polsce) posiada 34 milionowy (jak chce P. Szynski) majątek, kiedy on sam ani grosza jednego posiadać, ani nim rozporządzać nie może? Albo: przypuściwszy, że celem zakonu z bogacenie się jego, przypuścić koniecznie należy, że Jezuici byli wszyscy chciwcy i łakomcy, inaczej potrzebaby ich mieć za warjatów. Teraz pytam, czy to nie jest psychiczną niemoczną, aby łakomca sam ze swego majątku się odzierał, żeby nim bogacić drugich? Podobnych kwestyj możnaby postawić więcej

tym sposobem chcieli Jezuiti pociągnąć lud ciemny i młodszą szlachtę do siebie. Mnie się zdaje, i każdy rozsądny mi to przyznać musi, że kiedy król, czy magnat, czy szlachcic jaki legował fundusz na dom i kościół, aby w nim trwała chwala boża, osadzeni przy nim zakonnicy, Jezuiti, czy jacykolwiek inni są na sumieniu obowiązani,łożyć wszystko co od ich utrzymania zostaje na upiększenie kościoła, aby nabożeństwa i kościelne obrzędy z godnością i okazałością odpowiednią były sprawowane, boć przecie ta a nie inna była intencya fundatora. Jezuiti więc dbając o porządne utrzymanie swych kościołów, nie szukali w tem popularności u ludu lub mniejszej szlachty, ale starali się jedynie zadośćuczynić powinności swojej i rzeczy boskie sprawować godnie i z należą im okazałością <sup>1)</sup>,

Nikt też prócz pewnych literatów nie bierze za złe Jezuitom ich staranności w utrzymywaniu kościołów, którą i dzisiaj każdy w ich kościołach po świecie całym dostrzedz może.

Wiedzieć nadto należy, że z owych funduszy utrzymywały się całe domy i kolegia profesorów, misionarzy, kaznodziei i spowiedników. Wszystkie funkcye odprawiali Jezuiti bezpłatnie, a konstytucye zabraniają im nawet wszelkiej niepieniężnej nagrody. Dodajmy do tego bogate księgozbiory <sup>2)</sup>, które dzisiaj jeszcze zbogacają biblioteki Petersburga, Wiednia, Kijowa, Królewca, Upsali, a podobno i naszą Jagiellońską i Ossolińskich; dodajmy, że znaczne sumy szły na edukacyą zdolnych profesorów za granicą, że hojne jałmużny dawano biedniejszym uczniom, utrzymywano nawet rodziny Jezuitów, jeżeli polityczne wypadki lub inne okoliczności w niedostatek ją pogrążyły, a gdzie fundacje były znaczniejsze jak n. p. w Połocku króla Batorego, otwierano drukarnie a nawet fabryki, które podnosiły i oświatę i przemysł. Dwa wieki z górą istnieli Jezuiti w Polsce, a nikt im nigdy nie zarzucił, że na złe lub mniej prawe cele używali swych majątków; czemuż więc tak bardzo gniewamy się, że je zakon ten posiadał tak znaczne?

Inni znowu jak n. p. pan Szujski powiadają, że Jezuiti mieli własne widoki i cele, a temi było: „wyniesienie zakonu“ <sup>3)</sup>. Jeżeli to prawda, Jezuiti musieliby być bardzo ambitni. Ambicya potrafi przynieść wiele ofiar, znieść wiele cierpień, ale nie prowadzi na tulactwo, na

<sup>1)</sup> Dzisiejszy kościół farny w Poznaniu, najpiękniejszy z wszystkich i zadziwiający kolosalnością i wspaniałością struktury, budowali przez lat 50 Jezuiti z dochodów swego majątku.

<sup>2)</sup> W instytucie jest wyraźny przepis, aby pewna część dochodów obracaną była na zakupienie książek. Obligowani są szczególniejsz Prowincyałowie (reg. 33) aby o to się starali. I jakoż starali się dobrze.

<sup>3)</sup> T. III str. 247. „Zakon pracował dla celów własnych“ a na str. 484 wypowiada autor jaki to był cel, „aby tenże zakon pozostał dla nich (uczniów) na całe życie panem i sędzią sumienia, jedynym arcopagiem rozumu.“ ...Jezuiti nie wychowywali dzieci dla kraju, dla rodziny, ale dla siebie.

Są to znowu domysły poparte stroniczem świadectwem Brosciusza, a nie faktami.

wyszukane męki i rusztowania, ambicya, i sama tylko ambicya tego nie potrafi nigdy. Musi więc być całkiem coś innego jak ambicya to *ultimum motivum* dla Jezuity. Wiadomo jest także, że z wysokich familij i domów wstępowali do zakonu. Gdyby to byli ludzie ambitni, czy swej ambicyi nie mogli lepiej zadość uczynić na świecie, lub nawet w innem zakonnem zgromadzeniu, niż w zakonie Jezuitów, gdzie wszelka droga do honorów zamknięta <sup>1)</sup>. Warszewicki syn senatora, był już nominatem na biskupstwo a przecie wolał zostać Jezuitą. Na Męcińskiego spadła ogromna fortuna, którą w ambitnych widokach mógł był się posługiwać, a przecież został Jezuitą. Ujejski był biskupem Kijowskim, jednym z najbliższych doradców Jana Kazimierza, a przecie, złożył biskupstwo i został Jezuitą.

Dziwi mnie też wielce, jak mógł pan Szujski brać za złe Jezuitom, że pragnęli wyniesienia zakonu? A czyż to ma być co złego pragnąć aby rodzina, familia, ojczyzna były w kwitnącem stanie, cieszyła się wpływem i używała od wszystkich poszanowania? Któryż syn nie pragnie widzieć swą matkę w czci i szacunku? Zakonnikowi matką jest zakon i zły byłby to zakonnik, któryby nie dbał o dobrą sławę zakonu swego, lub co gorsza, swem postępowaniem go bezczęścił <sup>2)</sup>.

Wszystkim więc wolno i obowiązkiem jest starać się o zapewnienie sobie i swoim jak najlepszego stanowiska, wolno więc, obowiązkiem i chluba jest dla Jezuitów, że pracują, aby zakonowi swemu zapewnić wpływ i znaczenie, a nikt im nie dowiedzie, aby niecnemi środkami do tego zmierzali, i słusznie pyta Cretineau-Joli w historii zakonu (t. I. str. 60.) „gdzie jest jaka korporacya na świecie, od stowarzyszeń robotników począwszy aż do trybunałów apelacyjnych sądów, któraby nie usiłowała zawsze wzrastać w powagę i objawiać na zewnątrz swą potęgę? Ależ wyniesieniem tem wpływa zakon na politykę zewnętrzną. Miał ustawicznie na myśli polityczne cele <sup>3)</sup>. A co w tem jest najpocięszniejszego, to to zastrzeżenie, że o tych celach nikt nie wie, tylko sam generał, który jest sprężyną (*Triebfeder*) całej maszyny, a pojedynczy Jezuita kółeczkiem w tej maszynie bezwiednem i bezmyślnem. *Risum teneatis amici?* Pomijając śmieszność, a rzecz o „politycznych

<sup>1)</sup> Jezuitom zabrania Instytut (część 10. §. 6.) przyjmowania jakiegokolwiek godności kościelnej bez wyraźnego rozkazu Papieża. W Europie nie było ani jednego biskupa Jezuity, lubo Bohadikę, Kanizyusza i wielu innych Papieżem godnością ozdobił chcieli. Za to było kilkunastu biskupów Jezuitów z wyraźnego rozkazu Papieża w nowym świecie, gdzie tem się różnili od innych misyonarzy, że mieli więcej pracy, i że pierwsi szli na śmierć.

<sup>2)</sup> Pan Szujski argumentuje sofistycznie: „Zakon Jezuitów był potężny, więc celem Jezuity wyniesienie zakonu“. Tak, zakon był potężny cnotą, nauką i poświęceniem swych członków, był to skutek naturalny, ale nie cel ostateczny.

Do tego sofistycznego entymematu dadzą się sprowadzić rozmowy o Jezuitach w t. III str 483 - 485.

<sup>3)</sup> Tak p. Szujski. „Zakon pracował dla polityki zewnętrznej.“ (Tom III stron 209.)

celach“ biorąc na seryo, każdy widzi, że jest to drugi ogólnik nie-dowodzący pierwszego, i sam potrzebujący silnych dowodów.

Polityczne cele mogą być najrozmaitsze, złe i dobre: chcąc więc utrzymywać, że Jezuiti mieli swoje polityczne cele, i z tego wydać sąd potępienia na Jezuitów potrzeba najprzód dowieść, że cel Jezuitów był istotnie polityczny, powtóre że był politycznie zły, niemoralny. Jednemu i drugiemu wymaganiu stanie się zadość, jeżeli się wytknie szczegółowo ten przedmiot polityczny, zły, do którego zmierzali Jezuiti.

Dotąd nie uczynił tego żaden z owego krzykliwego tłumu nie-przyjaciół zakonu. Zbywa się więc to wszystko znowu ogólnikami, biorąc sofismaty do pomocy. „Jezuiti mieli cele polityczne, my nie wiemy jakie, bo wszystkie ich czyny pokrywała głęboka tajemnica; celów politycznych mieć nie powinni, bo byli towarzystwem religijnem i w tem ich grzech.“ Taka jest treść wszystkich dowodów.

Chcąc wykazać nieloiczność podobnego argumentowania i zbić zawarte w niem fałsze, potrzebaby spisać kilka arkuszy. Powiem więc krótko: jest to sofistyka, nie dowód. Jezuitów poważali papieże, królowie i szlachta, używano ich nawet do poselstw politycznych; wielka część edukacyi spoczywała w ich rękach, nie byli bez wpływu, a zatem mieli cele polityczne. Każdy widzi, że *consequens* nie płynie z *praemissis*. Wpływy polityczne Jezuitów, były tylko koniecznym skutkiem tej wszechstronnej działalności, której celem było zbawienie bliźnich. Tem mniej jest w stanie kto dowieść, że polityczne cele Jezuitów, były złe, niemoralne. Dzisiaj głoszą, że Jezuiti sprzyjali monarchiom; być więc może, że monarchiczne żywili zamiary. Przed stu laty obwołano Jezuitów za nieprzyjaciół monarchii, że uczą królobójstwa; być więc może, że ich cele były republikańskie. Dzisiaj i przed stu laty mówiono, że Jezuiti chcą owładnąć światem, rozdawać tyary i korony, skupić w sobie cywilną i kościelną władzę; w takim razie dążyliby do uniwersalnej tyranii. Ale jakąż te mowy mają podstawę? Same przypuszczenia i wnioski, nawet nieprawdopodobne. Innych bliższych oznaczeń tych celów politycznych, do których Jezuiti zmierzają, nigdzie (choć, świadczę się Bogiem, szczerze tego pragnęłam) doczytać się nie mogłam.

Ja doprawdy wcale tego nie pojmuję, jak można do tyła być bezczelnym lub dać się namiętności tak zaślepić, aby podobne nonsensa za dobry towar sprzedawać, i znów jak można być tak łatwomiernym i lekkomyślnym, żeby lada słowo, przez kogo bądź, byle przeciwko Jeznitom powiedzianemu, ślepo uwierzyć; boć przecie jest rzeczą niezaprzeczoną, że takich pisarzów czy mowców i takich czytelników i słuchaczy jest dosyć. I to ma być oświata, postęp? Prawda, że łatwą tu jest iluzya. Bandtkie, Bentkowski, Wiszniewski, Maciejowski, Wojciecki, Szujski<sup>1)</sup>, nawet poważny Niemcewicz w dziejach panowania

<sup>1)</sup> Pan Szujski biedzi się tutaj sam z sobą w sposób że najmniej powiem śmieszny. Powiedziawszy wyżej (tom III, str. 170), że z Zygmuntem III „niepraktyczne dla narodu knuli zamiary“, tj. jak się pokazuje z str. 192, hołdowali absolutyzmowi, zarzuca im na str. 241 „schlebianie próżnościom ludz-

Zygmunta III, sam także Mickiewicz w kursach słowiańskich, słowem, wszyscy koryfeusze literatury naszej głoszą: że Jezuitci mieli swoje widoki i cele — powtórzył to dosłownie cały tłum kompilatorów i kompendzystów, gazeciarzy i panfleciistów; uwierzyła im publiczność — ale nikt nie powiedział jakie te cele, nikt nie dowiódł że takie a nie inne i że złe moralnie. Kto mi nie wierzy, niech czyta wspomnianych autorów. Ja ich ztąd nie potępiam, mam wszelki szacunek i wdzięczność dla ich zasług w literaturze, umiem sobie wytłumaczyć, czemu podobne bezzasadne, bo niendowodnione zdanie o celu Jezuitów wydali — przeto jednak nie przestanę dziwić się i tym co tak pisali i tym co golemu słowu w rzeczy historycznej uwierzyli.

Jezuitci nie byli żadnem stowarzyszeniem tajemnym — nie mieli też w gronie swoim, jak chce Moraczewski, surdutów i fraków, ani „stopni“ na wzór hierarchii massońskiej; zakon ich był jawny, jak jawny ich instytut i reguła, jak jawne ich życie — niepotrzebny im żaden sekret, tajemniczość. Czytając instytut i regułę, a patrząc na postępek, które literze instytutu odpowiadały, każdy za rozumem tylko idąc, może wnieść jaki jest cel Jezuitów. „Zbawienie własne i bliźnich a ztąd chwała Boża“ oto cel. Jezuitci słowem i czynem dowodzą, że ten a nie inny jest cel ich i koniec. Nieprzyjaciecie słyszą to i widzą a przecie mówią nieprawda, „cel wasz jest inny — nie wiemy jaki, ale jest inny, a jest zły i niegodziwy“. — Takim sposobem i najnotliwszego człowieka można osławić, podkładając postępkom jego zacnym intencje nieczne.

Są jeszcze inne mnogie zarzuty wymierzone albo wprost na instytut albo na członków instytutu, które nie otrzymały wprawdzie tak obszernego u nas prawa obywatelstwa jak tamte, niemniej jednak wymagają wyjaśnienia, gdyż zarwano z nich nieco przez czytanie pism i pamfletów zagranicznych. Otóż powiadają najprzód, że zakon Jezuitów stoi szpiegostwem, a cały instytut nic innego nie jest jak w sy-

kim, dumie panów“ (str. 246 „kadzili znakomitościom krajowym“; znów na str. 247 „zakon jezuitcki władztwo papieskie nad światem chciał ześrodkować w sobie... nienawidził szlacheckiej wolnomysłności“. Cały ten ciekawy ustęp kończy się deklamacją: (zakon) „gościnnie przyjęty w Polsce, czarną odpłacił jej niewdzięcznością“. — Tekst komentarza nie potrzebuje.

Jeszcze pociesniej, bo namiętniej pisze o tym celu Jezuitów p. Maciejowski. „Jak w pewnym celu wprowadzeni zostali Jezuitci do Polski, tak też z pewnym powracali oni celem, własne raczej niż Kościoła dobro mając na uwadze“. Pismn. pol. t II, 69. „Krakowski (uniwersytet) zamiast oprzeć się całemi siłami niegodziwemu zamiarowi Jezuitów zbłąźnienia i spodlenia narodu, przyjmował“ etc. Tamże str. 71. „Dopomógł katolikom do wzięcia góry nad protestantami, panom do osłabienia stronnictwa szlacheckiego, niefortunności uniwersytetów do zniedołężnienia — religijno-narodowemu kierunkowi literatury (której na stronie 28 nie było) do zmartwiałości, skorzystaliby ztąd sami jedynie, mając po swej woli Kościół, stany narodu, oświatę i literaturę“ t. II. 72.

Niechajże to pogodzi, kto może, jedno z drugim.

stem ułożone szpiegowanie. Jezuita mocą instytutu swego musi być donosicielem swych braci a zarazem nie obrażać się, owszem wdzięcznym być, kiedy go kto inny do starszych zaskarży. Ten zarzut jest ulubionym zarzutem Moskali, podobno dla tego, że czynownicy jeden drugiego są policyjnymi dozorcami <sup>1)</sup>. Powodem podobnych inkryminacyj jest reg. 9. sumaryusza „Ku większemu w duchu postępku, a osobliwie ku większemu uniżeniu i pokorze własnej, ma każdy z wdzięcznością przyjmować, aby wszystkie pomyłki i niedoskonałości jego i wszelkie inne rzeczy w nim postrzeżone przez kogokolwiek, któryby się ich, okrom spowiedzi, dowiedział, starszym oznajmione były“.

(C. d. n.)

## KARTA WSPOMNIEŃ

Berlicza Sasa.

(Ciąg dalszy.)

Poważna matrona w stroju żałobnym przyjęła nas u progu swego pokoiku. Była to *Signora* Ottavia, gospodyni domu, opiekunka Grazielli. Rysy jej piękne jeszcze, odbłyskiem wdzięków młodości wyrażały szczerłość i zyczliwość. Układ odznaczał się prostotą i dostojnością. Smutek owiewał ją całą, gdyby mgłą cieni.

— Mam chorą w domu — rzekła do Figeac'a — której stan wielce mię niepokoi. Lekarze tutejsi nie zalecają się biegłością, a do tego są za drodzy. Dopomóż chorej nie potrafili, a skoro postrzegli, że nam sekinów zabrakło, odeszli i nie wrócili więcej. — *Francesca* powiedziała mi, żeście ludzie dobrzy, nie interesowni i w sztuce lekarskiej biegli. Dopomóżcież biednej mojej Grazielli, a Bóg wam za to pobłogosławi!

Wierny swej przybranej roli, może być, nawet realnie natchniony uroczystością chwili, Figeac słuchał uważnie; twarz ubrał w powagę nieznaną jemu od urodzenia; wdział na czoło wyraz głębokomyślniej rozwagi — i dopełniwszy tym sposobem kompletnej metamorfozy swojego indywiduum, zapytał:

<sup>1)</sup> Moskale mają dziwną jakąś apatyę do Jezuitów, tem dziwaczniejszą, że w ich „świętej Rosyi“ niema Jezuitów, ani jest nadzieja żeby tam byli prędko. Jakoż r. 1867 ogłosili w moskiewskim i polskim języku obszerne pismo pod tytułem: „Jezuici i stosunki ich do Rosyi“. — Jest to quodlibet odgrzewanych o Jezuitach baśni i nienawiści.



- Czy *Signora* nie mogłaby mi powiedzieć, jaki był początek, jaka była przyczyna choroby? Jest-to dla lekarza szczegół nader ważny. Choroby występują zwykle z piętnem swoich przyczyn, do których sztuka regulować się powinna. Są tacy pacyenci, których organizm fizyczny został strącony z toru potęgą moralnego ciosu, którzy byliby zdrowi zupełnie, gdyby odzyskali spokojność umysłu lub serca. Racz mi zatem *Signora* powiedzieć, czyli pacjentka nie doświadczyła jakiego wielkiego zmartwienia? Pyta o to nie człowiek ciekawy, ale troskliwy i sumienny lekarz.

— Ach! panie — odpowiedziała *Signora* Ottavia z głębokim westchnieniem — wielkie ją ugodziło nieszczęście! Straciła niedawno ojca! — dobrego, troskliwego ojca! Straciła w nim przyjaciela, opiekuna, jedyną podporę w świecie! Cóż dziwnego, *Signor*, że ta strata nagła, nieprzewidziana, bolesna — strata nad straty, ledwie ją o śmierć nie przyprawiła? *Graziella* jest istotą wyłączną, nie mającą równej w całej Wenecyi. Ona cała duszą, całym sercem, całą natchnieniem i harmonją. Niema takiego wrażenia, coby w jej uczuciu nie pozostało na długo. Nic jeszcze nie zaćmiło dotąd jej spokoju. Śpiewała, bo śpiew wylewał się sam przez się z jej piersi. Tańczyła, bo jej było lekko, wesoło wśród życia. Nie było w tem ani chęci popisywania się, ani innej jakiegokolwiek światowej pobudki. Do ruchu, do śpiewu, do wesela, nagliła ją sama natura. — A teraz — teraz *Signor!* — Nie ta już, nie ta moja biedna *Graziella!* Ratuj ją, jeżeli możesz! Wróć mi ją taką jaką była — a wielbić będę ciebie — u nóg się twoich czołgać!

Figeac był wzruszony, i tą razą nie pozornie ale szczerze. W tem rzewnem wyłonieniu się dostojnej matrony, było coś więcej jak prosta troskliwość, jak zwyczajne współczucie. Głosem matki, i matki gorąco kochającej, przemówiło cierpienie tej kobiety — a jakąż obojętność zdoła pozostać chłodną w obec takiego głosu? — takiego błagania?

— *Signora!* — rzekł Figeac, biorąc z tklivem uszanowaniem jej rękę. Nie człowiek przywraca zdrowie chorym, ale Bóg. To coś powiedziała, rzuciło wielkie światło na stan moralny pacjentki. Wiem przyczynę — obaczę jakie wywarła skutki na organizm, wtedy powiem dopiero, co robić? jak robić? i czy warto robić? Prowadź nas teraz *Signora* do chorej.

Nie będę opisywał tobie co się ze mną działo. Masz serce, pojmiesz więc łatwo stan mojego serca.

Kiedyśmy stanęli na progu pokoiku Grazielli, poczułem zrazu jakby odurzenie jakieś i w oczach mi się zaćmiło. Potem doznałem uroczystego wrażenia podobnego do hołdowej trwogi obejmującej duszę przy wejściu do świątyni.

Co było w pokoiku Grazielli i jak było? nie wiem, bo oprócz niej, cóż widzieć mogłem? Nie leżała w łóżku, jakem się spodziewał, lecz siedziała na maleńkiej sofce oparta o poduszkę. Lica jej blade, marmurowo białe, wyrażały nie słabość, nie cierpienie, ale jakąś dziwną rezygnację, jakieś, że tak powiem, uporczywe trwanie w przedsięwzięciu w głębi ducha wylęgłem, a którego cechą było nic innego jak rozpacz.

Przerażony byłem tym wyrazem jej twarzy. Przerażony byłem tem bardziej, że mi się innych zupełnie symptomów choroby spodziewał. Na głos tkliwy jej opiekunki, podniosła głowę, i uśmiech, ledwie widoczny, przemknął po jej bezbarwnych ustach. Gdy Figeac wziął jej rękę dla wybadania pulsu, spojrzała nań z bolesną ironją. Gdy ją zapytał o rodzaj cierpień jakich doświadczała, i gdzie się najdotkliwiej czuć dawały, położyła dłoń najprzód na sercu, potem na czole i nic nie odpowiedziała. Lecz w oku jej czarnem zbiegły się wszystkie władze życia, wszystkie promieniste cechy uczucia i pojęcia. Spojrzenie jej miało tyle wyrazu, tyle rzewnej treści i znaczenia, że żadnego komentarza nie potrzebowało.

Nie była to więc atonja ciała, nie było omdlenie ducha. Przeciwnie, fibry ciała drgały gorączkową energją — duch wzmógł się chorobliwie do wysokiej potęgi, lecz ani ciało, ani duch, nie znajdowały interesu w ruchu i działalności, nie czuły pociągu do zewnętrznego życia, jakby wyczekując chwili danej i żywotnego hasła tej chwili.

Figeac (który, jak się pokazało, więcej umiał i pojmował, i głębszą uczuciowością był obdarzony, niżeli sobie wyobrażał) nie przedłużał nad miarę swojej djagnostyki. Znalazł czego szukał. Skombinował co upatrzył. Wyprowadził wniosek stanowczy; i utwierdziwszy się na podstawie niezachwianej swojego przekonania, skinął pożegnalnie chorej; powołał nas ze sobą, a wszedłszy do pokoiku *Signory Ottavii*, rzekł:

— Racz mi *Signora* powiedzieć, czy chora płakała po śmierci ojca?

— Nie — *Signor dottore* — ani jednej łezki nie uroniła.

— Kiedy tak, to jeden tylko pozostał sposób przywrócenia jej zdrowia. — Trzeba ją doprowadzić do płaczu. Narracya, lub

czytanie, gdyby treść ich nie była tkliwą, nie odpowiedzą celowi. Ale mam ja na to inny sposób, którego zastosowaniem zajmę się gorliwie. Na chorobę poetycznej duszy, jedyny środek muzyka. Czy *Signorina* Graziella śpiewa z nut? — Czy ma jakie nuty? Proszę mi dać takie, w jakich największe znajdowała upodobanie, które ją najwięcej rozrzewniały.

*Signora* Ottavia pospieszyła wręczyć nam rulon nut Grazielli, nazywając jej najulubieńsze motywa.

— Dzisiaj późno już — rzekł Figeac — rozpoczynać kurację. Trzeba się do niej przygotować należycie. Do jutra tedy! Przyjacieli mój i kolega tu obecny, powinien być przy chorej co wieczora, dla obserwacyi symptomów, jakie podczas muzykalnych experyencyi moich będą się przejawiać. Proszę więc ułatwić jemu wstęp do pokoju pacjentki. Jest-to warunek konieczny, bez którego obejść się nie można.

Fidelio czekał na nas u brzegu. Usiadłszy pod felze'm\*) gondoli obok Figeac'a, wyraziłem mu podziw mój, że się okazał takim doskonałym wykonawcą roli, tyle sprzecznej z jego żywym i nieznoszącym przymusu charakterem, a zwłaszcza że dowiódł takiej znajomości psychicznej strony organizmu człowieka.

— *Corne de boeuf!* — zawołał — od samego urodzenia mego miałem oczy i uszy (o czem nie wątpisz zapewne?) mogłem więc widzieć i słyszeć — a że nie od wczoraj żyję na świecie, wiele widziałem i słyszałem. *C'est tout simple!* Co do roli, jaką przyjąłem na siebie i odegrałem, jak powiadasz, *en maitre....* nic w tem niema dziwnego. To, coś brał za rolę, nie było nią. Oprócz tytułu doktora, który otworzył nam wewnątrz zakłętę mieszkanie Fei, reszta było prawdą. Żal mi się zrobiło tej biednej dziewczynki i jej matki — *car je jurerais qu'elle l'est selon la nature; si elle ne l'est pas, selon les lois humaines.* Troskliwość zatem moja i chęć żywa niesienia pomocy, nie były udaniem, lecz realnem uczuciem, do którego przyznaję się, *tout Gascon, que je suis.*

Na pytanie moje, czyli miał rzeczywiście pewność wyleczenia Grazielli, środkami jakich użyć zamierzał, odpowiedział:

— Pewność nie jest atrybutem człowieka. *L'homme n'est jamais sur de rien.* Czy masz pewność że się dno gondoli nie rozpęknie nagle, i że nie utoniesz? Czy masz pewność że idąc po schodach twego mieszkania, nie poślizniesz się, i nie złamiesz ręki

\*) Rodzaj budy nad gondolą.

lub nogi? Czy masz pewność przeżyć noc? doczekać jutra? — Nie? Zkądże mam być pewnym i ja, że dokonam szczęśliwie przedsięwzięcia, któremu sama natura może stawić opór nieprzewidziany i nieprzewyciężony? *Or, je ne suis certain de rien, mais j'espère.* Widziałem w Sewilli przykład podobnej kuracyi. Młoda *manola*, ognistej, maurytańskiej natury, prześliczna twarzą i postawą (*dont, soit dit en passant, j'étais devenu amoureux, comme une bête*) wpadła była w marazm i niemą melancholię, w skutek nagłej śmierci kochanka, *torreadora* najstynniejszego w okolicy. *La docte Faculté de Seville*, zbiegła się *in pleno* do nadobnej chorej, która przytem była i nie biedną. Macania pulsu przemądrych konsultacyi i próżnej gawędy było bez liku. Ten ordynował proszki, ów pigułki; inni radzili pijawki, synapizma, miktury i dekokta. Nie pomagało! Stan chorej pogorszał się codziennie. Zostawało jej tylko w perspektywie umierać *secundum artem*, i być pogrzebioną *secundum ritus ecclesiae*, jak mawiał nasz poczciwy proboszcz, mój niegdys nauczyciel katechizmu i łaciny. *Sur ces entrefaites* zjawił się w Sewilli jakiś krewniak nieboszczyka *torreadora*, który dowiedziawszy się o stanie oplakanyim biednej *manoli*, odwiedził ją, i nagłą myślą oświecony, porwał zawieszoną na ścianie gitarę i zaczął grać *con anima*, tę samą tarantelę, którą zwykle z kochankiem swoim tańczyła. *La docte Faculté* chciała go wypędzić, *mais le gars n'entendait pas raillerie*. Zamiast ustąpić z placu, tak się gracko zawinął, że przezaeni adepci Eskulapa pogubili peruki swoje, uciekając zajęczemi susy z domu. Dopełniwszy chwalebego dzieła, wziął się znowu do gitary, i znowu przerwana tarantellę grać rozpoczął. *Pour être bref*, tyle tylko powiem tobie, że chora, poruszona do żywego temi tony, przypominającemi jej szczęśliwe doby nadziei i miłości, rozsłochała się gwałtownym płaczem, który trwał godzin kilka, wolniejac stopniowo; a kiedy ustał zupełnie, chora wpadła w sen głęboki, spotniała obficie i wkrótce wróciła do zdrowia.

— *Tu vois mon garçon* — ciągnął dalej Figeac — że mam niektóre powody liczyć na skuteczność mojego środka. Chodzi teraz o to, żebyśmy urządzili wszystko w sposób najodpowiedniejszy celowi. Pomiedzy artystami teatru *Fenice* są piękne głosy. Znam także jedną *cantatrice* wielkiego talentu. Jeżeli nie pożałujesz pieniędzy (a wiem, że nie pożałujesz) *tout s'arrangera pour le mieux*, kuracyę zaczniemy od jutra.

Nazajutrz przed zachodem słońca udałem się do *Signory Ottavii*, z wiadomością, że wszystko już gotowe. Weszliśmy do pokoiku *Grazielli*. Siedziała na swojej sofce z opuszczonemi oczyma. w głębokiej zadumie pogrążona. Nie postrzegła nadejścia naszego. Okienko było otwarte od strony kanału *della Giudecca*, z kąd łagodnie świeżością i wonią, leciały zefiry morza, studzić skroń palającą *Grazielli* i pieścić jej lica nadobne. O! nie te już były te lica, nie te, co przedtem! Równie piękne, urocze, więcej może czarujące nawet, ale bezbarwne, chłodne, jakby pozbawione życia, skamieniałe do uczuć i wrażeń doczesnych. Rzekłbyś, że masz przed sobą arcydzieło dłuta *Prexitele*, z paroskiego marmuru wykute i oczekujące żywotwornej iskry *Prometeja*, żeby powstać z bezwładności letargu.

Spokojniej było mi na sercu tą rzasą niż przedtem. Przewidywałem pomyślny skutek kuracyi, a do tego wierzyłem w potęgę uczuć i młodości. Wierzyłem, że taka miłość jak moja, nie mogła nie wywołać wzajemnej miłości! nie mogła nierozniecić takich blasków, jakiemi sama jaśniała. Patrzałem więc na *Graziellę* przez pryzmę nadziei — patrzałem bez trwogi i zamętu. Przeciwnie — błogość nieopisana przenikała całe moje serce — błogość pogodna, pełna marzeń, ułudy i rozkoszy.

Słońce zaczęło zniżać się ku morzu. Zadzwoniono *Angelus* na wieżach kościołów *Wenecyi*. Dźwięk ten uroczysty, zdawał się, według wyrażenia *Danta*, oplakiwać zdaleka ostatnie chwile umierającego dnia:

..... *Si ode squilla di lontano*  
*Che paia'l giorno pianger che si muore.*

*Graziella* podniosła oczy, jakby ze snu zbudzona. Położyła dłoń na czole swoim. Potem spojrzała na mnie, i długo nie spuszczać zrenicy, patrzała, jakby chcąc w rysach moich znaleźć objaśnienie powodu obecności mojej w jej mieszkaniu. Gdyby mię o to zapytała, nie wiem prawdziwie cobym jej odpowiedział. Lecz ona pozostała niemą jak przedtem. Westchnęła. Opuściła oczy — i znowu się w dumaniu pogrążyła.

W miarę, jak mrok wieczora gęstniał, jaśniej się robiło na niebie. Lśniącemi rojami wbiegały gwiazdy na lazurze przestworza, kąpiąc w toniach *Adryi* swe złociste odbicia. Księżyc wstąpił także na szczyt *empireju* i toczył wzrokiem zadumany dokoła. Górnemi blaski oświeciło się morze. Kanał *della Giudecca*, szemrzący u samego prawie okienka *Grazielli*, zdawał się potokiem roztopionego

złota. Cudnego obrazu tego chora nie spostrzegą, obca wszystkimu co się zewnątrz jej działo. Lecz każdą razą, kiedy zefir morza jej pukle poruszał i świeżem tchnieniem lica owiewał, widne było uczucie ulgi i zadowolenia. Wyglądało się czoło i po ustach coś na kształt uśmiechu przebiegało.

Jedno z tych tchnień drzemiącego morza przyniosło daleką melodyę jakiegoś chóru, co sącząc się przez obszary, półgłównym akordem do okienka wnikał. Był-to motyw z Lucyi Donizettego, tkliwy i rzewny. Dwa głosy, męzki *tenor* i żeńskie *mezzo-soprano* łączyły się, zlewały cudownie, wibrując naprzemian, to uśmiech nadziei, to słodycz miłości, to znowu smutek, tęsknotę, żal głęboki po stracie tego, co sercu miłym było, duszę uszczęśliwiał. Zdawało się, że łkanie potrzasało śpiewem, że z każdej głoski biegło westchnienie, łza opadała gorąca.

Przy świetle alabastrowej lampy, którą *Signora Ottavia* za ekranem zastawiła, widną mi była cała postać *Grazielli*, perłowym półcieniem owiana. Na twarz jej padał z ukosa blask łagodny, nadający jej tło przezrocze, eteryczne, niezemskie.

W miarę, jak się chór tajemniczy przybliżał, czoło chorej nabierało więcej pogodnego wyrazu i martwą bierność oblicza promień uczucia przebiegał.

Wkrótce podniosła głowę opuszczoną; żywszą źrenicą spojrzęła, to na mnie, to na okienko otwarte; skupiać się zaczęła w słuchu, w bacności, w zajęciu. Każdy ton śpiewu, był dla niej żywotną iskrą *Prometeja*. Ona wracała znowu na świat, zmartwychwstawała duchem, umysłem, ciałem — przestawała być *mar-murem* — wracała do życia, do stanu tkliwej i poetycznej kobiety.

Radośnie uderzyło serce moje w obec tych przejawów wracającego życia *Grazielli*. Nadzieja wyzdrowienia jej, stawała się pewnością; a pewność ta czyliż nie była dla mnie szczęściem?

Wylawszy z siebie ostatni swój akord, rzewny i boleśny, chór tajemniczy zamilkł nagle i cicho zrobiło się na morzu. Ta przerwa melodyjnego wątku silnie podziałała na *Graziellę*. Nerwowym ruchem powstała z sofki i spojrzęła niespokojnie na okienko, jakby pytając przestrzeni, czemu swe dźwięki zawiesiła? Z ust jej biegły półgłówny, urywane słowa, bez pozornego związku pomiędzy sobą, bo to co ich loiczną nić stanowiło, zostawało w jej wnętrzu, chaosem wrażeń pochłonięte. W źrenicy migają błyski. Oddech był głęboki i pośpieszny. Wszystko w niej zdradzało gwałtowną

żądę tonu, gorączkowe pragnienie wzruszeń, któremi zaczęła istnieć na nowo, powstawać z upadku sił duszy i ciała — rzekł-  
byś — tonący co się chwytą jedynej nadziei ratunku.

Nagle, radością zapłonęły lice Grazielli, żywymi połyski strze-  
liły oczy. Drżąca z oczekiwania i zachwytu, stanęła ona u okienka,  
łowiąc chciwie harmonijne *arpeggia* gitary, co preludjowały wstępny  
taktom pieśni. Był - to ów znany motyw z Fenelli, Modlitwa  
Brata; tęskna i uroczysta melodia, błagalne westchnienie duszy,  
pełne samorzutnej rzewności i naiwnej prostoty. Pieśń ta analo-  
gicznej natury z usposobieniem wewnętrznem Grazielli, wielkie na  
niej wywarła wrażenie. Całem jestestwem swoim wciągała ją  
w siebie, jak napój kojący pragnienie jak świeży powiew po znoju,  
jak woń balsamiczną dolin i łąk kwiecistych, jak zbawienny kor-  
dyał co budzi siły i życie. Nie tą była już Graziella, jaką widzia-  
łem przed chwilą. Lekką czerwienią wzruszenia obkleły się jej  
alabastrowe lica. Na ustach bladych i chłodnych usiadły ciepłe  
barwy aurory; a łono, niespokojne dotychczas, mniej się już po-  
śpiesznie pod równym i długim oddechem falilo.

Postrzegła mię, i spokojnie, bez obawy, jakby oswojona już  
z moją obecnością, przeciągnęła rękę do okienka, drugą położyła  
na sercu, wyrażając okiem i gestem, czego doznawała i co było  
tego powodem. Chciałem przemówić, lecz ona położyła palec na  
ustach swoich, nakazując mi milczenie. Chciałem powstać i zbli-  
żyć się do niej, ale gest Grazielli zatrzymał mię na miejscu. Ja  
drżałem z uczucia, uniesienia, roskoszy, a ona wymagała odemnie  
milczenia i nieruchomości, żeby żadnego akordu nie przepuścić,  
żadnego dźwięku nie postradać, i dłużej istnieć, bez przeszkody,  
całą pełnią wrażeń, jakich w tej chwili doznawała. Ja kochałem  
ją, pierwszą płomienną miłością, a ona wracała dopiero do życia;  
otrząsała z siebie chłód i martwość co jej ducha i ciało krępowały;  
z bytu posągu wkraczała do bytu kobiety. Była więc przepaść po-  
między nami — a przecież widok mój nie wzbudził w niej ani  
podziwu, ani bojaźni. Uprzejmą była dla mnie, jej żrenica i wyraz  
oblicza nie był surowy. Nic nie wyrzekła jeszcze, ale widziałem  
jasno, że usta jej gotowe były przemówić dobrem słowem — że  
kiedyś przychylnie przemówią.

Kiedym odchodził, pożegnała mię ruchem ręki i coś nakształt  
przychylnego uśmiechu przemknęło po jej twarzy. Radości jakiej  
doświadczyłem wtedy, wyrazić nie zdołałem. Figeac czekał na mnie

w gondoli. Wysłuchawszy sprawozdania potarł dłonie wesoło i rzekł:

*Corne de boeuf! Cela va bien!* — Ciesz mi to niesłuchanie. Druga to wielka radość dla mnie. Pierwszą była, śmierć nieboszczki żony mojej — *que l'Océan lui soit léger!* A co? jak śpiewali? Głosy dobrane i prześliczne! nieprawdaż? Jutro wystąpią z pieśnią rzewniejszą jeszcze i smutniejszą. *Je veux frapper le grand coup.* Chora już przysposobiona. Organizm szuka wrażeń. *C'est bon signe!* Dziękujmy Bogu za to czegośmy dokonali i prosimy żeby nam resztę dokonać pozwolił! — *Sans Dieu, rien n'est possible!*

Nazajutrz stawilem się u *Signory Ottavii* o tej samej godzinie. Powiedziała że *Graziella* przepędziła noc dość spokojnie; że nawet parę razy zasnęła na minut kilkanaście, czego się w ciągu jej choroby nie zdarzało. Temu to przypisywała ona nie bez racji, polepszenie stanu chorej; mniejsze zagłębianie się w sobie samej; większą potrzebę ruchu i zajęcia. Mówiła przytem, że *Graziella* wspomniła jej z wyraźnem zadowoleniem o pięknej muzyce wczorajszej, i wielce się trapiła niepewnością, czy znowu tę muzykę usłyszy?

Kiedym wszedł do pokoiku *Grazielli*, stała u okienka, z oczyma zwróconemi na kanał *della Giudecca*. Snać badała przestrzeń wodną, ażali nie ukaże się na niej gondola jaka, żeglująca przy melodyi śpiewu i dźwięku gitary.

Rzuciła wzrok roztargniony na mnie, zbliżającego się do niej, i zapytała z pewnym rodzajem niespokojności:

— *Che volete Signor?*

— *Oggi non mi vuole?* — rzekłem smutnie, robiąc ruch ku drzwiom.

— *Si, si* — przemówiła z pośpiechem, jakby chcąc zatrzeć wrażenie swojego pytania. — Zostań pan. Byłeś wczoraj u mnie. Przypominam. Jesteś doktorem? Nieprawdaż?

— Tak jest, *Signorina*.

— *Capisco!* — Czuję się nieco lepiej. Czy dawałeś mi jakie lekarstwa?

— Żadnych.

— Skądże to polepszenie stanu mego?

— Od Boga!



Graziella skłoniła głowę w obec hołdownej myśli o Bogu, co jej oblicze w tej chwili opromieniła.

— Od Boga! — przemówiła z natchnieniem. Prawdę rzekłeś. On jeden mógł podnieść mię z upadku! On jeden, gasnące rozniecić życie! — Nikt inny! Wielkie, straszliwe, dotknęło mię nieszczęście! Zaczynam widzieć jaśniej w przeszłości. Straciłam ojca, jedynego druha i opiekuna mego! Dusza, serce i umysł, uległy ciosowi. Czarnemi kiry zamroczył się świat cały. Ziemia stała się dla mnie *la valle d'abisso doloroso*, Danta; a nad przyszłością moją widziałam iskrzące się złowrogo rozpaczliwe słowa:

*Permè si va, nella città dolente!*

*Permè si va, nell' eterno dolore!*

I tak było w istocie, bo krom boleści — głębokiej i wiecznej boleści — nic mię innego nie czekało w życiu. Czekałam więc tylko śmierci. Wzywałam jej — błagałam. Czułam że przyjdzie na głos duszy mojej — czułam, że już idzie...

Nie dokończyła, bo w tejże chwili ozwały się dalekie akordy chóru, co zdawał się z głębi morskiej powstawać, gdyby śpiew syren Adryi, pełen melodyi i czaru. Motyw był wzięty z *Elisir d'amore*, i dwa głosy wykonywały go przecudnie.

Graziella usiadła przy okienku i oparłszy głowę na rękę, słuchała. Ja stałem przy niej. Całą duszą moją jednoczyłem się z jej duszą, jak się dwie fale zlewają, dwa tony łączą, dwa płomienie jednoczą! Była to chwila nad chwile! Żyłem jej życiem, cierpiałem jej cierpieniem, czułem jej czuciem i wrażeniem! I w niej musiały się odbić, skutkiem duchowego stosunku, wzruszenia jakich doświadczałem, bo żywem, wymownem spojrzeniem rzuciła na mnie, jakby głosem wewnętrznym zniewolona, i skinąwszy żebym się przybliżył, ukazała ręką w tę stronę skąd płynęły melodye chóru i powtórzyła drżącemi od wrażenia usta te szlachetne słowa pieśni:

*O! di Patria il caldo affetto!*

Od ojczyzny myśl jej przebiegła do wspomnień o ojcu. Nuta wymowna śpiewu podniosła jej uczucia do stopnia rozrzewnienia i żalu. Słowa dopełniły dzieła nuty. Graziella wykrzyknęła rozdierającym głosem: „*mi sento morire!*“ i konwulsyjnym zadrzała nagle płaczem. Łkania jej gwałtowne potrząsały piersią. Były w nich i jęki, i dławienia, i spazmatyczne porywy, i rozpaczliwe jakieś odgłosy, wyrażające straszliwą boleść, zamęt, nawałnicę serca. *Signora Ottavia*, przerażona tym stanem Grazielli, nie wiedziała

co począć? jaką nieść pomoc chorej? Ja także, chociaż przygotowany do tego krytycznego przełamu choroby, niemniej byłem niespokojnym, dopóki nie ujrzałem łez Grazielli, co zastąpiły jej płacz suchy, gorączkowy i realnie grożący niebezpieczeństwem. I długo, długo trwał ten płacz zbawienny, coraz wolniej i słabnąc. Gdy się zupełnie uspokoił, senność głęboka zawładnęła Graziellą. Skłoniła głowę na poduszkę, którą pospieszyłem przynieść, i zasnęła...

Stan chorej zaczął się odtąd zmieniać ku lepszemu. Odwiedzałem ją codziennie o zwykłej wieczornej godzinie, i coraz radośniej robiło się mi na sercu, widząc bystry postęp jej wyzdrowienia. Wesolą nie była ona, lecz była przynajmniej spokojną. Zamiast zagłębiać się w siebie, jak przedtem, szukała zjawisk zewnętrznych, rozmowy poufnej, przychylnych stosunków i roztargnienia. Nie rzadko ła cicha perliła się w jej źrenicy, a kiedym ją o przyczynę pytał, odpowiedziała z uśmiechem:

— To nic! Nie ja płaczę, ale dusza — tak jej widać potrzeba.

Bywał i uśmiech na jej ustach, ale rzadko zupełny i sercowy. Blask jego mgił się zawsze cieniem melancholji lub mrokiem żalobnego smutku. Kiedy śpiewała, to same rzewne i tęskne arye. Kiedy co opowiadała, to nic przedmiotu przerywało nieraz głębokie westchnienie obce treści opowiadania i świadczące wymownie o wewnętrznym jej cierpieniu. Graziella widząc mnie codziennie, nie mogła nie pojąć stanu serca mego; nie mogła nie zgłębić natury uczuć jakimi dla niej istniałem — a jednak, nie odrzucała mnie od siebie, nie przestawała być dostępną, uprzejmą, pobłażającą. Zdawało mi się nawet, że przyjście moje witała weselem, a odejście żegnała smutkiem.

*Signora Ottavia*, której wzgląd przychylny pozyskałem, zostawiała nas często samych, by nie krępować obecnością swoją swobody naszej. A przecież, nie pozwoliłem sobie ani razu przemówić do Grazielli słowem wyznania, ubliżyć ukochanej istocie poufałością obejścia, lub niewczesnym porywem sercowej tkliwości. Niewinność Grazielli i godność dziewicza, miały swój majestat, swoją świętość, przed którymi korzyły się hołdownie uczucia moje, w obec których dusza moja czystsza się stawała i wznioślejszą. Córa Italii, Graziella przyniosła z sobą na świat wrodzoną intuicję piękna, instynkt<sup>t</sup> wysoki artyzmu, gorące zamiłowanie sztuki i poetyczność, samodzielnie z jej wyłącznej, nerwowej natury wypływającą.

W ocenieniu dzieł mistrzów, nie kierowała się ona żadną teorią *a priori* powziętą, żadną regułą szkoły, lub przyjętej opinii, lecz wewnętrznem uznaniem, uchwałą ducha, jasnowidzeniem chwili natchnienia. Muzykę lubiła z zapałem — lecz muzykę uczucia, prostą, samorzutną, nieokreśloną teoryami klasycznych kombinacji, których nie pojmowała, bo i nie mogła pojmować. Jej mistrzem było serce, harmonijnie nastrojone, zdolne czuć głęboko, wyrażać tonem swe uczucia i przelewać w inne serca. W każdej niemal z aryj, jakie śpiewała, znalazłbyś wariantę jakąś, własnym jej pomysłem do muzycznego tekstu wprowadzoną, bo tego potrzebowało jej serce i tego wymagało chwilowe natchnienie. Była w niej zatem i twórczość, cecha niezaprzeczonego daru, atrybut wyższej muzycznej natury.

Chociaż Graziella urodziła się w Wenecyi i lat siedemnaście w niej przeżyła, znała tylko jej zewnętrzną stronę. O skarbach sztuki i pamiątek dziejowych, jakie wnętrza jej pałaców i świątyń zawierały, pojęcia nawet nie miała. Postanowiliśmy tedy zwiedzić codziennie jakąś część Wenecyi w asystencyi dostojnej *Signory Otavii*, której się pomysł ów bardzo podobał.

W tym celu przybyłem nazajutrz do Grazielli przed południem. Fidelio, (gondolier zręczny i wielce do mnie przywiązany, o którym wspomniałem już tobie) uprzedzony przezemnie zawczasu, przyozdobił *felze* swojej gondoli kwiecistemi festony, oczyścił wnętrze z pyłu i nowe poduszki na ławeczkach położył. Tego mała, ofiarował Grazielli z najhołdowniejszym ukłonem ogromny bukiet (*mazzo di fiori*) oddając siebie i swój statek pod rozkazy pięknej *Signoriny*.

Dzień był przesliczny; byłby nawet za gorący, gdyby nie to, że fale wionęły świeżością i podmuchy zefirów studziły powietrze. Zaczęliśmy wycieczkę naszą od *Piazzetty*. Jest-to rzeczywiście punkt miasta, od którego oznajomianie się z Wenecją zaczynać należy. Dwie kolumny, szczytąki świątyń Grecyi zdobyte przez Wenecyan na Wschodzie, stoją tam gdyby na straży obumarłego grodu. Na jednej, lew skrzydlaty św. Marka, na drugiej, posąg św. Teodora. Obie mała znaczące jako dzieło sztuki, lecz jakże wiele w nich dziejowej treści! tradycyjnego znaczenia! Do koła nich, piętrzą się gmachy wspaniałe, dziwne utwory fantazyi genjuszu, napominające owe eteryczne budowle Bagdadu, Delhy, Korduby, któremi lada wietrzyk zdaje się kołysać, a jednak wieki przetrwały!

Kędy spojrzysz, rosną i kwitną w najpełniejszym rozwoju form i linii swoich, marmurowe arcydzieła Sansowina i Palladja. Nie szukaj w nich rysów klasycznych; kształtów greckich, romańskich, lub gotyckich, nie szukaj jednolitego stylu ani w ogólnym rysunku, ani w szczegółach. Prokuratorye, biblioteka, pałac Dożów, powstały nie z planu na zimno obmyślanego *secundum artem*, lecz z gorącego wytrysku natchnienia; z kaprysu, że tak powiem, poetycznej wyobraźni, która potrafiła zharmonizować, zespolić z sobą, najsprzeczniesze cechy budownictwa i stworzyć z nich gustowną, pełną gracyi i wspaniałości, całość. Znajdziesz tam arkady o łukach sferycznych, portyki i nisze, o łukach ostrych, słupy korynckiego porządku obok ciemnych fibr marmurowych gotyckiej natury, filigranowe galeryjki maurytańskie, rzekłbyś z Alhambry przeniesione. Znajdziesz wszystko, jednym słowem, czegośbyś znaleźć nie myślał, co nawet być nie powinno, a bez czego nie byłoby jednak tego efektu, jaki cię zdumiewa i zachwyca.

Spojrzałeś wyżej — przed tobą świątynia mauro-bizantyjskiego rysunku, o pięciu kopułach. Na wzniosłym frontonie wietrzą przestrzeń i rwą się do biegu bronzowe konie Koryntu — to kościół św. Marka, najdroższymi łupy zaborczej potęgi Wenecyan, najkosztowniej szczytkami odległej starożytności wewnątrz ozdobiony. Słupy z porfyru i rzeźbione marmury, przywieziono ze Wschodu. Drzwi z brązu i srebra, wzięte z Byzancjum z kościoła św. Zofii. Pomiędzy ośmiu kolumnami u głównego wuiścia, jedna, według podania, pochodzi ze świątyni Salomona. Przed zdziwionem okiem migają natłokiem skarby sztuki, bogactwa starożytności powodzią wieków oszczędzone, bizantyjskie mozaiki na tle złocistem, drogie relikwiarze kroplistą rosą dyamentów osypane, klejnoty wotywne, posągi z brązu, marmuru, alabastru, a na wielkim ołtarzu bezcenna krypta św. Marka i sławna *Pala d'Oro* blaskiem złota i drogich kamieni opromienione.

Kiedyśmy wstąpili do wnętrza kościoła, uroczyste w nim panowało milczenie, bo oprócz nas, nie było nikogo. Szkarłatnym smugiem wnikały przez kolorowe szyby ostatnie promienie zachodzącego słońca, ożywiając ciepłemi barwy życia surowe lica posągów i nadające grze drogich kamieni jaskrawe tęczobarwne połyski. Zrazu olśniona, Graziella stanęła bez ruchu i głosu, wpatrując się z ciekawością pełną podziwu w to co ją otaczało, bo nigdy się jej nie zdarzało dotąd oglądać wnętrza świątyni w chwilach wolnych od gwaru i natłoku. Nigdy się jej nie wydała tak piękną i powa-

zną, tak bogatą i uroczystą. Przejęta czią hołdowną, ukłękła przed kryptą świętego Marka i kornie skłoniła oblicze. Kiedy powstała, dwie lzy jaśniały w źrenicy. Była to ofiara jej serca złożona Bogu, tkliwa dań najdroższych klejnotów duszy.

Przechodząc koło pałacu Dożów, Graziella ukazała mi ręką na ów Most Westchnień, łączący krytą arkadę, pałac z więzieniem gdzie tyle ofiar pod despotycznym rządem Oligarchów śmierć swoją znalazło.

Na wspaniałych schodach Olbrzymów książęcego dworca, rozrzewniło ją wspomnienie Marina Faliera, którego krew te stopnie zbroczyła. Wspomniała także o Foskarym, sędziwym Brutusie Wenecyi, który trzykroć być musiał świadkiem, jak synowi jego, oskarżonemu o zdradę kraju, w tem miejscu torturę zadawano.

— *Maladetti!* — zawołała z oburzeniem. — Jakże nie miała upaść potęga Wenecyi, kiedy nie była godną błogosławieństwa boskiego? — *Povera Venezia!*

Ten żal patriotycznej duszy rozwiąło uczucie dumy rodzinnej, kiedyśmy weszli do sali Radnej, gdzie niegdyś ojcowie kraju, poważni *Patres conscripti* Wenecyi pod zwierzchnictwem Doży zasiadali. Ściany jej i sufity, pędzlem Tintoreta, Pawła z Werony, Palmy Giovane, oraz innych mistrzów szkoły weneckiej, ozdobione, wyobrażały najświetniejsze dziejowe epoki tej królowej morza, której Graziella córą była. Boje na lądzie i morzu, owacye wodzów, zaślubiny Doży z Adryatykiem, symbol morskiej przewagi Wenecyi, roztaczały się przed nami pełne wyrazu, życia i prawdy. Zdawało się, że te zbrojne tłumy walczyć nie przestały, że te okręta i galery, owiane dymem wystrzałów, płyną, nacierają na siebie. Słyszysz okrzyki, hasła, szczęki mieczów i gromy palnej broni. Przeszłość ożyła przed tobą na mistrza skinienie. Genjusz dokonał cudu — wskrzesił co dawno umarło!

Lecz nie jedni my tylko byliśmy widzami tej bohaterskiej epopei dawnego bytu Wenecyi Długi szereg Dożów, zaczawszy od pierwszego z rzędu, Obeteria Antenerea, do ostatniego, Ludwika Maniui, o dziewięć wieków późniejszego, towarzyszył naszemu przeglądowi wielkich epok, wielkich czynów i wielkich ludzi. Jednego tylko Doży niedostawało. Rama na tle czarnem osadzona była pusta, a napis zastępujący miejsce wizerunku świadczył, że tym nieobecnym był Marino Falieri, ścięty za zbrodnię stanu.

(C. d. n)

## LIBERALIZM WIEDEŃSKI

### NA WSZECHNICY KRAKOWSKIEJ.

Pan Jakób Girtler, profesor historii prawa niemieckiego na Wszechnicy Krakowskiej, koniecznie chce mieć swój fakelcug na podobieństwo fakelcugu wyprawionego dr. Gilewskiemu 8 maja b. r. Nie wiem czy się nie przerachuje; bo najprzód dr. Gilewski żadnego w szczególności wyznania walczyć zdaje się nie chciał, tylko się pisał na wyznanie Döllingeryanizmu, a błąd jego jako człowieka publicznego i postępowego był w tem, że w epoce bezwyznaniowości religijnej, nie tylko sam zrobił religijne wyznanie wiary w nieomylną powagę Döllingera, ale nadto, że do tegoż wyznania chciał pociągnąć cały fakultet medyczny, czy nawet podobno całą wszechnicę; tymczasem p. Girtler mimo niejednokrotnie objawionej sympatii dla judaizmu, w prelekcjach swoich czy to *à propos* butów, czy *à propos* szcetek do butów, czy tym podobnych innych *à propos* dotyczących wykładanego przezeń przedmiotu, występuje nie już fanatycznie, ale z furją przeciwko wszystkim w ogóle religiom pozytywnym, a w szczególności *ex professo* przeciwko katolicyzmowi. Ta różnica między dr. Gilewskim a p. Girtlerem zanadto jest wielką i rażącą, aby nawet w najgorętszych tego ostatniego zwolennikach nie opóźniła przynajmniej wniosku i dekretu o fakelcugu jako o jednym z najuroczystszych aktów publicznego kultu oddawanego heroesom liberalizmu wiedeńskiego. Powtóre p. Girtler w dążeniach swoich może się jeszcze przerachować i z tego tytułu, że nie posiadając ani talentu, ani wykształcenia, ani żadnej z sympatycznych zalet, które drowi Gilewskiemu nie tylko uczniów, ale i osób najrozmaitszego stanu zyskiwały serca — przedstawia za to mnóstwo ujemnych stron w sobie, które są zdolne zrazić nawet młodzież najlepszej dla niego woli. Bądź co bądź, akt fakelcugowy, mimo wszystkich śmiesznych swoich stron jeszcze nie spadł tak nisko w Krakowie, aby nim chciano szafować na rzecz pierwszego lepszego kandydata na męża postępu i liberalizmu. Dosyć wziąć na uwagę, że nawet dla najznakomitszego, najzacniejszego i najzasłużeńszego p. J. I. Kraszewskiego, dziennik *Kraj* żadnym sposobem nie mógł wykolatać na Krakowianach fakelcugu — i że podobno od onych czasów, w których drowi Smolce wyprawiano fakelcug na złość jakiemuś liberalnemu panięciu, nikt jeszcze w pełnem znaczeniu kultu fakelcugowego nie dostąpił. *Dii minorum gentium* odbierały tu wprawdzie taki kult na małe rozmiary, ale jeżeli tylko chciały go sobie zapewnić niezawodnie, to już wołały go szukać w pierwszorzędnej stolicy galicyjskiej, nieco dawniej z duchem i obyczajem Wiednia obznajomionej i głębiej niemi przejętej.

W ostatnim numerze waszego pisma pan J. G. w wybornym swoim artykule p. t. Dwutygodnik krakowski, zdał relację o

najnowszych wycieczkach p. Girtlera już nie tylko przeciwko katolicyzmowi, ale nawet przeciwko chrześcijaństwu. Wycieczka ta dokonana była na rzecz judaizmu. Lecz od tej chwili p. Girtler znacznie postąpił. Rozmachal się *sicut gigas* i aby tem prędzej u celu swoich pragnień stanął, uderzył we wszystkie religie pozytywne, czyli objawione, na rzecz religii rozumowej, która się odbywa bez objawienia, czyli bez niewolniczego dogmatu pisma św., aby w cichości serca (dobrze, że nie w cichości ust profesora prawa niemieckiego) cześć oddawać upojedynczonemu Bogu. Jeżeli jeszcze i to nie pomoże, aby profesor Girtler znalazł się na piedestalu między bohaterami liberalizmu czczonymi nawet choćby tylko częściowym kultem fabelcugowym, to kto wie, czy w najbliższych prelekcjach z tytułu prawa niemieckiego nie da wreszcie odprawy i owemu upojedynczonemu bóstwu, i czy cichą czią swego serca objawioną więcej niż głośnie usty, nie otoczy demona ateizmu.

Ustęp prelekcji prawa prywatnego niemieckiego, (w którym pan Girtler podniósł w ten sposób sprawę katolicyzmu, chrześcijaństwa i wszelkiej religii objawionej (niewylączając i judaizmu, który się także opiera na niewolniczym dogmacie Pisma świętego), na to, aby tę sprawę zapewne dla jaśniejszego i dobitniejszego wykładu prawa niemieckiego podeptał), jest następujący:

„Nieomylny ten Papież (Leon X) ustanowił po krajach Towarzystwa assekuracyjne wysysające krew z chłopów... których nauczano w tem przekonaniu, że dla chłopca niepotrzeba superfluxów dobrych uczynków, albowiem Pismo święte mówi: błogosławieni cichego ducha itd... Papież tymczasem przesyłali biegłym w sztuce kramarskiej następcom apostołów miarkami... dnje indulgeney, zastrzegając sobie tylko przesyłkę kapitalów a ustępując procentu a nawet nadając przywilej na lichwę... Powodem do tej hurtownej sprzedaży odpustów było, że lubiący przepych Leon, nie mógł oczekiwać na rok jubileuszowy, chociaż z pierwotnego terminu 50 lat ustanowiono 25ty rok na obchód jubileuszowy za co, Papież podwójną brał dziesięcinę... Na Soborze Trydenckim umieszczono jako dogmat udzielanie odpustów, o czem tak się wyraża Chemnitz: „całe chrześcijaństwo spodziewało się, że Ojcowie tego Soboru to haniebne nadużycie zniosą, a tymczasem tenże jako djabeł, który uciekając przed krzyżem, za sobą smród zostawia, ten gnój w zasadę przemienił...“ Tecel otworzył taki kram odpustów, dokąd wielu kupujących zgromadzało się a nabywszy kartek, pokazywali takowe swym spowiednikom, którzy wedle nauki tego szarlatana już im żadnej pokuty nie mogli przepisywać (choćby za zabójstwo). Takie kartki dostały się w ręce Lutra i to ten wystąpił przeciwko temu szarlatanizmowi Stolicy św. (Tu p. Girtler mówi o zacności nauki Lutra i nieuctwie szarlatanów i oszustów — następnie przechodzi do Zwinglego). „Zwingle był to człowiek oświeconego ducha, pobożny... chciał podać jedno tylko bóstwo a nie trzy... upojedynczyć, tj. sprowadzić do prawdy pojęcia o Bogu i uczynić go przystępnym dla najprostszego rozumu ludzkiego, aby w cichości cześć oddawać Bogu. (Wiadomo, że Jezus

nauczał w polu i tu wykazywał wszechmocność Boga... i nigdy nie wchodził do świątyni... Trzeba bowiem było rodowodu; wtenczas na zapytanie Faryzeuszów odpowiadał, że jest synem Boga — tak jak każdy człowiek, tj. nie bezpośrednim ale pośrednim... kto wstępował do świątyni, musiał mieć świadectwo oczyszczenia. W tym celu był zakład oczyszczeni, a jednym z urzędników jego był św. Jan Chrzciciel... Tenże stwierdził w więzieniu, że nigdy nie powiedział, że Jezus jest Synem Boga. Tę naukę możnaby nazwać rozumową, która uwalnia z pod powagi Papieża i niewolniczego dogmatu Pisma świętego“

Niedowierzenia zdaloby się rzeczą, aby tego rodzaju wyrażenia się o religii mogły wyjść z ust profesora akademickiego. Na bok już odłożywszy sprawę bluźnierstwa, która nie zawsze ze sprawą erudycyi (wiedzeńskiej zwłaszcza) stoi w sprzeczności; a którą się owszem erudycya na skalę p. Girtlera bardzo chętnie w pewnych nihilistycznych wszechnicach podpira; niepodobieństwem przecież wydaje się, aby człowiek, którego jakby jaką znakomitość za czasów ministerstwa hr. Alfreda Potockiego i dr. Stremajera do wszechnicy Jagiellońskiej z Wiednia przysłano, mógł choćby też wreszcie i bluźnierstwa w sposób tak głupi i bezczelny wygłaszać. Jakto? czyżby już duch bezbożności i bluźnierstwa tak dalece miał się stać dzisiaj sam przez się świadectwem wyższości inteligencyjnej i rękojmią korzystnego nauczania akademickiego, że kto nim natchniony mówi, temu się wolno obywać bez najpierwszych elementarnych wiadomości o tem co mówi? temu się godzi prawie brednie i kłamstwa najoczywistsze bez najmniejszej obawy kontroli i krytyki ze strony władzy akademickiej, której powierzono straż i obronę honoru i godności naukowej *Almae Matris Jagellonicae*?

Lecz co się zdaje niepodobieństwem, to jest nie tylko prawdopodobnem, ale niestety faktem najistotniejszym. Słowa powyżej przytoczone wyszły z ust pana Girtlera; zostały one spisane przez jednego z uczniów akademii krakowskiej; są one w ścisłym związku z tem co na niewiele przedtem wypowiedział o sprawie bóstwa Jezusa Chrystusa — z tem co już przeszłego roku spowodowało *Czas* do wystąpienia; są one w związku z szyderstwami najbezbożniejszymi, z którymi p. Girtler z pewną lubością, od początku swego obecnego pobytu w Krakowie pytany czy nie pytany, proszony czy nie proszony, występuje prywatnie i publicznie; bez których obejść się nie może nawet przy najmowianiu mieszkania od katolickiej obywatelki całkiem sobie nieznaney, nawet i w serdecznej rozmowie z dawnymi swoimi kolegami. Dwóch lat podobno jeszcze niema jak wrócił do miasta, które jest jego kolebką, w którym odebrał swoje szkolne wykształcenie — a już sobie zrobił sławę bluźniącego *con amore*!

Sambym temu uwierzyć nie mógł, gdybym nie miał w pamięci rozmowy, która się toczyła między mną a świeżo przybyłym profesorem. Pan Girtler sam mnie zaczął, jako niegdyś swego kolegę, i mimo usiłowanej względności dla kolegi księdza, tyle w ciągu godziny nagadał, że połowa tego wystarczyłaby na świadectwo, iż religii nie-



ma żadnej i że w miejsce jakiegokolwiek znajomości religijnej ma tylko przyswojone najfałszywsze i najniedorzeczniejsze przeciwko katolicyzmowi przez bezbożność wiedeńskiego dziennikarstwa ukute zdania i potwarze Zdumiewałem się, jakim sposobem człowiekiem tak lekkomyślnie, tak na wiatr, tak bez najmniejszego zastanowienia się (że przecież mówi z kapłanem, który w tych rzeczach musi mieć jakie takie fachowe wykształcenie) plotący brednie i niedorzeczności, — jakim sposobem człowiek taki może zajmować najwyższe naukowe stanowisko — profesora akademickiego! P. Girtler przypomniał sobie, jak w ciągu tej rozmowy zamiast mu odpowiadać na zarzuty czynione katolicyzmowi, zaklinałem go raczej i błagałem z całą otwartością, do jakiej mi sam dał prawo odwołaniem się do dawnego koleżeństwa, aby przynajmniej w swych wykładach akademickich dał pokój wycieczkom na polu religijnem; że jakkolwiek takie rzeczy mogłyby się z początku mniej myślącej młodzieży podobać, to jednak w obec większości uczniów akademickich przyzwyczajonych do gruntownych, wytrawnych i poważnych wykładów, może się bardzo źle przedstawić i stracić prędko szacunek, którym oni przywykli prawdziwą tylko uczoność otaczać. Nie zaniebdałem otworzyć mu oczu na smutne następstwa agitacji antykatolickiej propagowanej z wysokości katedry akademickiej, — ale to wszystko, czułem, że było jak groch na ścianę. P. Girtler nie na to mnie zaczepił, aby kolegę ucieszył rozmową o zaszczycie, jakiego dostąpił, a jakiego przedtem gdym jeszcze ani się domyślał o okropnej ruinie religijnej zaszłej w jego duszy, z całego serca mu winiszowałem. Pan Girtler zaczepił po prostu księdza, aby mu z całą swobodą powiedzieć, że Kościół katolicki jest szkołą ciemnoty, oszustwa i szarlatanizmu; że czas aby społeczność nasza z pod wpływu tej szkoły raz się uwolniła, i że on chce także pokazać co pod tym względem może. Litość brała słuchać tego potopu bredni, którą zalał godzinę rozmowy — ze drżeniem przy pożegnaniu ścisnąłem za rękę człowieka, który się widocznie podjął roboty wydzierania z serc młodzieży życia religijnego — ale nie straciwszy jeszcze nadziei, że miłosierdzie Boskie pomoże na to, na co nie ma argumentów — postanowiłem milczyć i modlić się. Wkrótce przecież i głos publiczny i głos najszacowniejszych kolegów równie moich jak p. Girtlera, przekonał mnie, że równie ich, ludzi świeckich ale zacnych i poważanych, jak moje błagania, bez żadnego zostały na jego serce wpływu, i że dzieło zniszczenia w młodzieży zasad religijnych idzie szybko i z większem powodzeniem niżbym był mógł w najgorszym nawet przypuszczeniu mniemać

Nigdybym o tem nie wspomniał nie tylko w piśmie publicznem lecz nawet ani w prywatnej rozmowie, gdyby mnie do tego nie zniewalała bolesna konieczność zkonfrontowania, że się tak wyrażę, tego co z publicznego wykładu p. Girtlera powyżej przytoczyłem z tem co z własnych jego ust słyszałem. Sam ten sposób wyrażania się bezładu i składu, bez żadnego względu na uczucia i przekonania tych, do których się mówi, z pogwałceniem najprostszej przyzwoitości, z polamaniem praw tej mowy, która przecież powinna być na każdej ka-

tedrze Jagiellońskiej jak na swym pięciowiekowym tronie panią, matką i królową; z ubliżeniem przypisom gramatyki, które dobremu studentowi z trzeciej klasy znane być powinny; sam ten nakoniec ton lekceważący nie już opinie i zasady, ktoremi ci ludzie duchownie żyją i których siłą sumienia swoje kierują, ale nawet lekceważący samychże ludzi; ton pogardliwy i jakby chcący dać do zrozumienia, że się tych ludzi ma za jakichś Hotentotów, którzyby powinni wzięść za dobrą monetę prawdę nauki i rzucane im ogryzki, lupiny i śmieci już dawno wzgardzonego w krajach ucywilizowanych fałszu, tak jak biorą za dyamenty nędzne świecidła — i za ambrozyą niebiańską zabijającą gorzałkę — sam ten ton nieszczęśliwy i mało powiem karczemny — raz słyszany już się nigdy nie zapomina i dość aby zkąś doleciał, iżby sobie powiedzieć — to on mówi, bo u nas nikt inny jeszcze się tak mówić nie poważył.

Nie myślę, aby było możebnem wchodzić w jakąś rozprawę religijną z p. profesorem Girtlerem. Kto tak jak on traktuje sprawę religii, ten z góry daje do zrozumienia, że jeżeli tej sprawy nie czepia, to wcale nie dla tego, aby kopać, tratować i plwać wszystkie jej choćby najbardziej bijące w oczy świętości. Jest-to ten rodzaj fanatyzmu i furii, który się racyami tem bardziej rozjątrza i podjudza, im nowe racye są mocniejsze, im bardziej są na rzecz religii przekonywujące. Jeżeli z fanatyzmem fałszywej religijności, jak np. fanatyzm muzułmańskiego zelanta lub żydowskiego hasydyma, niema podobieństwa rozprawiać, bo się wszystkie racye rozbijają o zaciętość ślepej miłości najoczywistej nierozumnych przesądów, zabobonów, bałamuctw i samej nawej w dogmat lub prawo zamienionej przewrotności, to niezawodnie z fanatyzmem bezbożności tem trudniejsza sprawa, że się wszystko w obec niego rozbija o zaciętość ślepej nienawiści dla najoczywistszych prawd, najczystszych religijnych zasad, i samychże nawet owych dogmatów, które zdrowy rozum przyjąć nakazuje, oraz samychże nawet owych praw moralności, których się sama naturalna uczciwość i sam głos niezgwałconego sumienia domaga.

Zkąd się taki fanatyzm wylęga i czy on ma swoje istotne powody w moralnym i fizycznym nieladzie człowieka, trudnoby na tę kwestyę apriorycznie i ogólnikowo odpowiedzieć. W różnych ludziach różne tego zlego mogą być przyczyny. To pewna jednakże, iż moralny nielad prędzej i częściej za soba pociąga nielad fizyczny, niżeli *vice versa*. W Ewangeliach i aktach Apostolskich spotykamy się z smutnemi objawami furiackiej bezbożności w opętanych; za dni naszych widzimy, że podobnie bezbożne usposobienia są jakby wstępem do stanu najokropniejszego obłąkania. Donoszą coś podobnego o Rocheforce i gdy jedni w symptomatach obecnego jego obłąkania chcą widzieć po wody tłumaczące całe to furyactwo, z jakim np. dwa lata temu trząśł się, bladł i targal na samo przypuszczenie, że duchowieństwo katolickie mogłoby być wezwane do błogosławienia sztandarów skrajnej republiki, i w samym tem przypuszczeniu upatrywał owych sztandarów zniewagę i zbezczeszczenie — to drudzy w tychże samych symptomatach widzą tylko skutki życia i działania wyzutego, czy wy-

zwolonego z wszelkiego religijnego prawidła. Bezbożność, w której rej wodzi wiedeńska intelligencja dziennikarska, przedstawia wszystkie symptomata opętania — a mnóstwo swoich wyznawców wiedzie najkrótszą drogą do zakładu obłąkanych.

Podobno p. Girtler wprost z armii przeniesiony został na katedrę uniwersytecką. Sam ten fakt, jakkolwiek byłby istotnym, nieby jeszcze nie tłumaczył i wcale się z tymi zgodzić nie możemy, którzy niewąstnie jego i tendencyjne wycieczki na pole religijne tłumaczą nawykieniami żołnierskimi. Wiemy dobrze, iż wykształcony umysłowo oficer, jakich armia austryacka ma podostatkiem, może być i uczonym erudytą i człowiekiem religijnym. Marynarka austryacka jest tego najlepszym dowodem. Nad trumną Tegethofa ronil lzy żalu i bołości równie stan duchowny, a stratę jego uczuł może równie dotkliwie teolog austryacki, jak i bohaterowie z pod Lissy. Czemużby więc i p. Girtler wprost z baterji nie miał przejść na katedrę z korzyścią dla nauki a przynajmniej bez krzywdy i szkody religji. Ale jest pewna koterya armji, która ani się nauką, ani religijnością nie zaleca, która szczególnie pod względem religijnym bardzo jest jeszcze laskawą na Pana Boga, jeżeli mu pozwala być tylko neutralnym, a modlitwę o czynną jego interwencyę miałaby sobie za ubliżenie. Podobno to właśnie tej koteryi mamy do zawdzięczenia straszną klęskę z r. 1866. P. Girtler zdaje się być jej zasadami przejęty. Idzie on nawet dużo dalej, neutralności tylko żądając od Boga, neutralności wcale nie chce zachować dla Boga. Zdaje się, że na to ze stanu rycerskiego do stanu nauczycielskiego przeszedł, aby mógł na polu nauki swobodniej walczyć przeciw sprawie religji, której się wyznawcą mienił — niżby mu to było wolno na polu, z którego zeszedł.

Doszedł on już do zanegowania i wyszydzenia tego, co Bóg sam o swej istocie drogą objawienia dał do wiedzenia i wierzenia i zapewnie nie ustanie na tej drodze, póki nie przyzwyczał swych uczniów do szydzenia z tego, co Bóg twierdzi o sobie przez sam rozum i sumienie ludzkie. Zawziętość antyreligijna i nieuctwo wcale nieakademickie nie dadzą się na tej pochyłości zatrzymać; pchają się do ostateczności.

Nie żeby więc p. Girtlera przekonać, bo fanatyczne jego przeświadczenie o własnej w kwestjach religijnych apodyktycznej nieomyślności oraz missya, jaką sobie wziął za cel swych obecnych usiłowań do rozumowego przekonania, wszelką drogę przecina, ale żeby szukającym przekonania tak pod względem znajomości poruszonych przezeń kwestyj religijnych, jako też pod względem jego erudycyi i zalet akademickich dać jakąś miarę, skonstatujmy najsamprzód pierwszą, a potem zawnioskujemy o drugiej.

Pomijamy rzecz o towarzystwach asekuracyjnych, które miał po krajach ustanowić Papież Leon X w celu wysysania krwi z chłopów — pomijamy rzecz o nauczaniu tychże chłopów, że dla nich nie potrzeba superfluksów dobrych uczynków, albowiem Pismo święte mówi: błogosławieni cichego ducha, pomijamy. mówię, te nie wiedzieć, czy więcej nikczemne i głupie, czy więcej na ograniczone głowy słuchaczy obrachowane frazesa

na które tylko znakiem politowania lub milczeniem pogardy odpowiedzieć można, jako na nonsensa tyle tylko mające znaczenia, ile mieszczące w sobie złości i kłamstwa tą złością spowodowanego. To jednak trudno pominąć, że profesor Girtler wszystkie swoje złośliwe i szydercze twierdzenia wypowiedziane stylem godnym najostatniejszej szynkowni wiedeńskiej — o biegłych w sztuce kramarskiej następcach apostołów, o przesyłaniu tymże przez Papieża miarkami dni indulgencji z zastrzeżeniem sobie przesyłki kapitałów; a z ustąpieniem procentu i z nadaniem nawet przywileju na lichwę owym biegłym w sztuce kramarskiej następcom apostołów, o hurtownej sprzedaży odpustów, i o wszystkich tym podobnych kłamstwach widocznie dowiadywał się z takich klasycznych dzieł, jak np. ów darmo rozsyłany zeszłego roku z wiedeńskiej księgarni Moritz'a Pereles'a ohydny pamflet pod tytułem: *Papsthum und Concil*<sup>1)</sup>, którego 70 stronnic (in 32<sup>o</sup>) stanowią kompilację wszelkich obrzydliwości, wyzioniętych kiedykolwiek przez najzłośliwszych potwarców Stolicy świętej. Prosimy przeczytać (ktoby miał odwagę dotknąć się tego błociska, mającego służyć za arsenał dla rycerzy walczących przeciwko Papiestwu) — dziewięć rozdziałów następujących, których same tytuły zestawione z wyrażeniami profesora prawa niemieckiego, przekonują, z jakich-to źródeł czerpie on swoje zdania o Kościele katolickim, aby niemi głowy i serca swoich słuchaczy, jako superfleksami swej erudycji zbogacić.

Oto są wspomniane o 70ciu stronniczkach źródłowego dzieła (in 32<sup>o</sup>) tytuły ostatnich rozdziałów (od str. 53—62):

„Pochodzenie i zyskowność odpustu. — Wynalazek Papieski jubileuszowego roku. — Korzystna spekulacya z ponnażania lat jubileuszowych. — Wpływ zgbny roku jubileuszowego na obyczaje. — Organizacya handlu odpustowego. — Nikczemność kramarzy odpustowych. — Nikczemność kramarstwa odpustowego. — Demoralizacya przez handel odpustowy.“

Ośm tych rozdziałów wyprzedza rozdział „o podkopaniu dobrobytu ludu przez ultramontanizm — i o konieczności usunięcia handlarstwa kościelno-obrzędowemi czynnościami.“

Podług tego więc owe kramarstwo papieskie przez biegłych w sztuce kramarskiej następców apostołów szafujących miarkami dni indulgencji — ma trwać dotąd jak trwało, i czeka na to, aby mu wreszcie kres położono — aby Rzym przez ultramontanów nie wysysał krwi z chłopów. Prosimy ten niby fakt zachować w pamięci, bo poniżej będzie nam potrzebny. Poprzednio musimy skonfrontować frazesa profesora Girtlera o kramarstwie papieskiemi odpustami z twierdzeniami broszurki, w której zesumowano wszystkie skargi i zarzuty przez najzaciętszych nieprzyjaciół katolicyzmu poczynione Stolicy świętej.

<sup>1)</sup> Drukowany w Lipsku u Ottona Wiganda.

Broszura pod tytułem: *Papstthum und Concil* — jako głos wzywający lud niemiecki do otrząśnięcia się z jarzma rzymskiej chciwości panowania i drapieżstwa<sup>1)</sup>.

„Dobroć serca papieży pragnąca, aby i u pozostałych w domu zapewnić sobie sprzedaż odpustów to jest u tych, którzy nie mogli pielgrzymować do Rzymu, zabezpieczyć ją (sicherte) za pewną opłatą zupełne odpuścić grzechów str. 58)“

„Papież, aby ułatwić żądającym odpustu opłatę takowego, wysyłał do krajów wszystkich pracujących osobnych kollektorów; *Um den Ablassbedürftigen die Zahlung zu erleichtern, schickte Papst... eigene Geldsammler in aller Herren Länder*. Podobni rabusiom ci papieży kramarze odpustowi plądrowali chrześcijaństwo i nie ma zbrodni, na którąby bez żalu i pokuty nie można sobie było kupić odpustu: *Gleich Räubern plünderten die Päpstlichen Ablasskrämer die Christenheit und es gibt kein Verbrechen, für das nicht, und zwar ohne Reue und Busse, Ablass gekauft werden kann* (str. 58 i 59). Od tego, któryby nie miał gotówki, brano konie, woły, świnie, owce i suknie.“

„Papież podzielił całe chrześcijaństwo na cyrkuły odpustowe, których siła produkcyjna doskonale była obrachowana; takowe zaś były wydzierżawione w drodze licytacji komisarzom odpustowym, arcybiskupom i biskupom. Ci tedy pachciarze wybierali duchownych, którzy jako targowicy wywoływacze ogłaszali sprzedaż kartek odpustowych“ (str. 59).

Zdania p. prof. Girtlera o papieżach z tytułu wspomnienia o papieżu Leonie X.

„Papież ustanowił po krajach towarzystwa assekuracyjne... wysysające krew z chłopów...“

„Papież przesyłał biegłym w sztuce kramarskiej następcom apostołów miarkami dnie indulgencji, zastrzegając sobie tylko przesyłkę kapitałów a ustęp procentu etc.“....

„Teceł otworzył taki kram odpustów, dokąd wielu kupujących zgromadzało się, a nabywszy kartek, pokazywali takowe swym spowiednikom, którzy.... już im żadnej pokuty nie mogli przepisywać (choćby za zabójstwo).“

„Papież ustanowił po krajach towarzystwa assekuracyjne wysysające krew z chłopów. (Profesor o krwi mówi, aby dosadniej wyrazić to kłamstwo niemieckie: *Wo nicht Baargeld ist, werden Pferde und Rinder, Schweine und Schafe, Schmuck und Kleider an Zahlung statt genommen.*)“

„Papież przesyłał biegłym w sztuce kramarskiej następcom apostołów .... ustępując procenta... Teceł otworzył taki kram odpustów, (*Die Pächter wählten geistliche Marktschreier zum Verkaufe der Ablassscheine*), dokąd wielu kupujących zgromadzało się, a nabywszy kartek“ etc. etc.

<sup>1)</sup> Antwort auf die 21 canones, als Mahnruf an das deutsche Volk zur Abschüttlung des Joches Römischer Herrsch- und Habsucht.

Broszurka zdając niby sprawę z taksy opłat odpustowych (*Ablasstaxe*), tłustemi drukuje czcionkami: **Arme, die kein Geld haben, können der Ablasgabe nicht theilhaft werden.** (str. 62.)

„Korzystać z jubileuszowego odpustu była tak olbrzymią, że papieżom niepodobna było cały wiek znowu czekać na powrót tak znakomitego zysku (*dass die Päpste unmöglich .... warten konnten*) .... Urban VI. uznał i 50 lat zbyt długie dla swego pobożnego apetytu i skrócił ten termin na lat 33 .... Paweł II. znowu chcąc zapobiedz nierówności terminów, raz na zawsze nazaczył 25 lat .... co jednakże późniejszym papieżom nieprzeszkadzało wyjątkowo z różnych powodów naznaczać jubileusze .... Nic tak wysoko nie podniosło tłustych korzyści z odpustów, jak roki jubileuszowe.“ (str. 56, 57).

To zdaje się wystarczy, aby przekonać łatwowierniejszych wielbicieli wszechstronnej erudycji p. Girtlera, z kąd to obok religijnych wiadomości czerpie on o rzeczach religijnych zdania i sądy. Przypuściwszy nawet, że do prelekcji prawa prywatnego niemieckiego nie pożyczał religijnych ilustracji z broszurki *Papstthum und Concil* — oczywiście jest przecież, że je brał z leksykonów, lub feljetonów wiedeńskich, podług których owa broszurka jest urobiona. To także jest rzeczą niewątpliwą, że jego wycieczki w krainę katolicyzmu o tyle są własne jego, o ile do złośliwości niemieckich potwarzy i szyderstw dodaje w przekładzie niedorzeczności własnego pomysłu i dowcipu tłumacząc naprzykład *Arme* na chłopów i tworząc takie śliczne wyrazy, jak np. *superfluxy* — coś osobliwego równie dla Niemca jak i dla Polaka.

Tyle co do kwestyi oryginalności i źródeł. Teraz zaś pytamy się, czy p. Girtler wie czy nie wie, że za obecnego Papieża, prócz zwykłego odpustu jubileuszowego, jeszcze ich było pięć i czy też słyszał, żeby kto za którykolwiek z tych sześciu jubileuszów choćby grosz taksy zapłacił? Autorowie broszury *Papstthum und Concil* udają,

Pan Girtler mówi:

„Których (chłopów) nauczono w tem przekonaniu, że dla chłopów nie potrzeba *superfluxów* dobrych uczynków, albowiem pismo święte mówi: Błogosławieni cichego ducha.“ (Pan Girtler poprawił *arme* na chłopów; bo u nas lepiej brzmi, ale zapomniał, że co dopiero był powiedział: iż papież wysysali krew z chłopów po krajach — podług zaś tego musieliby i chłopom przyznawać *superfluxów*.)

„Powodem do tej hurtownej sprzedaży odpustów było, że lubiący przepychy Leon niemógł oczekiwać na rok jubileuszowy, chociaż z pierwotnego terminu o lat, ustanowiono 25 rok na obchód jubileuszowy, za co papież podwójną brał dziesięcinę.“

ze są przekonani, iż się za te odpusty grubo płaci — i dla tego na czele tytułów o handlu odpustami, kładą tytuł osobny: *Die Kauflichkeit der gottesdienstlichen Handlungen muss beseitigt werden*. Jeżeli Papieże mnożyli odpusty dla pomnażania dziesięciny wybieranej za te odpusty z całego świata, dla wysysania krwi chłopów, dla zbierania kapitałów, od których kramarzom odpustowym (następcom apostołów) zostawiali procent i pozwalali na lichwę — to niechże pan Girtler raczy wytłumaczyć, dla czego dzisiejszy Papież tak odpusty jubileuszowe często naznaczał, kiedy ani on za takowe nie brał, ani ci przez których te odpusty udzielał? Jest widocznie jakaś inna przyczyna, która Papieża do tego spowodowała. I czyliż nie wypadło, aby profesor prawa na wszechnicy, która przecież jeszcze nie zrobiła wyznania bezwyznaniowości, której przeszłość pięciowiekowa jest katolicką, której obecne personale jest więcej niż tylko w większości katolickie, aby więc profesor prawa, w takiej akademii, zanimby się rzucił z taką zajądłością w celu podeptania najpierwszych praw religii, sumienia, szacunku winnego dziewiętnastowiekowej instytucji, którą miliony ludzi miały i mają za świętą, czczą nawet jako boską, która wypiastowała tyle pokoleń i narodów, która i starą cywilizację zasłoniła przed zagładą i wytworzyła nową, był się przecież zastanowił nad tem, co? dla czego? na jakiej podstawie czyni i co sobie zamierzył dokonać? Jeżeli panu Girtlerowi już koniecznie wypadło mówić o Papieżach i odpustach, czyż nienależało uwzględnić tego prawa naturalnej sprawiedliwości: *audiatur et altera pars*, które przecież i względem najostatniejszego z ludzi obowiązuje, kiedy się chce sądzić jego postępowanie, a tem bardziej kiedy idzie o najwyższe powagi, zdeptanie których tak bezwzględnie, tak gwałtownie, tak żadną a żadną rozumną i słuszną przyczyną niespowodowane, ani usprawiedliwione — jest jednocześnie zdeptaniem nie tylko wszelkiej godności i znaczenia prawa państwowego, ale najwyższych praw ludzkości! Czyż jakikolwiek rozumny żyd, poganin, schyzmatyk lub protestant, umiejący czuć godność swojego stanowiska, umiejący szanować choćby tylko siebie samego, pozwolilby sobie na miejscu p. Girtlera podobnej niegodziwości, lub podobnego pauperstwa?

Byli jednakże Papieże, którzy naznaczając odpusty, polecali zbieranie jałmużn na potrzeby, które zwali potrzebami Kościoła. Więc i cóż ztąd? Czyliż prawa logiki, które pan Girtler powinien daleko mieć więcej na pamięci niż postępowanie Kościoła, niż kwestyę dogmatów — czyli, pytam się, te prawa logiki już dla tego pozwalają mu wnioskować, że te jałmużny były jakimiś opłatami, a zbieranie ich kramarstwem, a nadzieja ich bogatego zbioru powodem naznaczania odpustów? Czyż godziło się dalej wnosić ztąd, że te jałmużny były wyciskaniem krwi chłopów, lub że ci, którzy ich złożyć nie mogli, nie mogli też, ani potrzebowali korzystać z odpustów? Jeżeli p. Girtler nigdy nie czuł potrzeby korzystania z odpustów i dla tego wiedzieć nie może z własnego doświadczenia, czy się za ich dostąpienie płaci lub nie, to czyż nie mógł się zapytać swego stróża, swej kucharki, że już nie powiem którego ze swych kolegów lub ze swych

uczniów, czy też za dostąpiony odpust co zapłacili? A jeżeli szło o skonstatowanie rzeczy historycznej, nie byłoż zajrzeć, jeżeli już nie do bullaryuszów, to przynajmniej do kronik, w którychby obok faktu tego lub owego odpustu można było znaleźć akt papieski zdający sprawę z powodu naznaczonego odpustu i oznaczający jego warunki? Czyż na to wystarcza napić się kału z feljetonu Nowej albo Starej *Pressy*, lub z kału pamfletu na podobieństwo tego z którym zestawiliśmy jego twierdzenia o Papieżach i odpustach?

Ale p. Girtler cytuje Chemnitzą! Chemnitza przeciwko Soborowi Trydenckiemu! Chemnitza przeciwko wszystkim biskupom katolickim! Chemnitza odzywającego się w imię całego chrześcijaństwa, podczas kiedy całe chrześcijaństwo z wyjątkiem odłamu protestanckiego, jeszcze podówczas bardzo nielicznego, widziało w biskupach z papieżem swych najwyższych nauczycieli i rządców, których prawomocności działania, jeszcze się byli nie nauczyli mierzyć swemi nadziejami lub zachceniami, ale których wyrokami mierzyli raczej wartość i godziwość swych nadziei i działań. Kiedyc już koniecznie p. Girtler chciał zmierzyć zdaniem Chemnitza, postępowanie Soboru w kwestyi odpustu — było się pierwej owemu zdaniu przypatrzeć, zmierzyć je, porównać a nie na ślepo przytaczać. Któryż z rozumnych uczniów p. Girtlera poważyłby się kwestye tego rodzaju mierzyć zdaniem pana profesora już tem samem bardzo wątpliwej wartości i prawdy, że pozbawionemi wszelkiej powagi i spokoju a przypominającemi warcholskie wygadywania antykatolickich dzienników? A pan Girtler gotów przysięgać na słowa Chemnitza, pomimo tego, że ten Chemnitz jest zdeklarowanym nieprzyjacielem Kościoła, napiętnowanym w każdym prawie swoim słowie znamieniem sekciarskiego warcholstwa. Czyż ta cytacja nie powinna samą formą swoją spowodować w umyśle poważnym choćby tylko wątpliwość o wartości zawartego w niej zdania? Trzy wiersze przytoczył z Chemnitza, a w tych trzech wierszach, Ojcowie Soboru (tak ich bowiem nazywa Chemnitz) porównani z djabłem, i to z djabłem, który uciekając przed krzyżem, zostawia za sobą smród, z djabłem, który ten gnój (odpustów) w zasadę przemienił! Więc trzy wiersze samych obelg rzuconych w oczy tym, o których pismo święte, będące powagą boską dla Chemnitza, powiada: że ich, t. j. biskupów postanowił Duch święty, aby rządzili kościołem (akt. ap. XX, 28) — i te trzy wiersze bez żadnej weryfikacyi wystarczają, aby na ich mocy profesor prawa wydawał w obec audytorium katolickiego wyrok potępienia na całą instytucyę biskupów, papieży, Soborów i Kościoła. Piękny profesor prawa! Chce p. Girtler dowodzić Chemnitzem? Niechaj więc dowodzi racjami wyjętymi z jego dzieł, ale nie obelgami. Niechaj się zapyta także, czy Chemnitz nie uległ w tej sprawie jakiej rozumnej krytyce strony przeciwnej, i co też wreszcie ten sąd w jego sprawie orzekł — na jakich sam w tem orzeczeniu wspierał się podstawach? Ale pan Girtler nie ma do tego czasu, ani ochoty? To powinien dać pokój i Chemnitzom, odpustom i papieżom. A niech naucza pocziwie tego do czego się zobowiązał, za co



placą, a głów młodych nie bałamucić, bo to ani po akademicku, ani po ludzku.

Obelgami zredagowanemi przez Chemnitza pobiwszy działanie i wyrok Soboru powszechnego, p. Girtler, zacnością nauki Lutra wali zaraz w nieuctwo i szarlatanizm stolicy świętej. Nie wiem już co tam z tej zacnej nauki Lutra przytoczył mądrego, ale można się domyslać jaka to tam znowu była armatura, kiedy weźmiemy na uwagę, że tu mowa o bataliach staczanych przez Lutra przeciwko szarlatanizmowi stolicy świętej. Jakież to szarlatanizmowi? Oto przeciw szarlatanizmowi sprzedawania kartek odpustowych przez Tecela, które kto nabył, temu już spowiednik nie mógł żadnej naznaczać pokuty choćby za zabójstwo. Czy to jest fakt? Jakimże p. Girtler dokumentem historycznym tego faktu dowiódł? Trzeba było przytoczyć bulle Leona X. ów odpust naznaczającą. Bulla ta oświadcza, że wierni dwudziestu pięciu prowincyj będą mogli dostąpić odpustu zupełnego, jeżeli dopełniwszy prawdziwej pokuty, przyłożą się jakkolwiek jałmużną do ukończenia budowy bazyliki św. Piotra: *Vere poenitentibus contritis et confessis*. Trzeba było zatem najspanprzód prawdziwie pokutować, to jest oczyszczać sumienie pokutą cnoty i sakramentu, pokutą żalu za grzechy (*contritis*) i spowiedzi sakramentalnej (*confessis*). Z całej sakramentalnej pokuty bulla, żadnego warunku nie wyjmuje, ale owszem istotę i potrzebę wszystkich przypomina tem wyrażeniem: *vere poenitentibus*. Ale może Tecel wykrętnemi tłómaczeniami zfaloszował bulle i twierdził, że dla dostąpienia odpustu trzeba konieczniznie kartki kupować, i że to samo przez się wystarcza? W jakimże dokumencie Tecela p. Girtler to wyczytał? Istnieje jego *Instructio summaria* napisana w celu wyjaśnienia warunków odpustu nadanego przez Leona. Nie byłoby nic wielkiego zajrzyć do niej — można ją było zresztą znaleźć cytowaną w historyach, choćby też i w historii napisanej przez jakiego protestanta, ale opierającego się na dokumentach nie na wygadywaniach i obelgach. Protestant Seckendorf w swojej *Historia Lutheranismi*. przytacza z niej ustępy (Lib. II). Otóż tam znalazłby p. Girtler, że Tecel niemniej jak bulla Leonowa dawał mocny nacisk na wymaganie prawdziwej pokuty — na wyrażenia *contritus et confessus*, i że ci tylko, którzy wymagalnościom prawdziwej pokuty zadość uczynili, mogli byli dostąpić odpustu nie jakowychś zbrodni (np. zabójstwa), bo te się odpuszczają prawdziwie żałującym tylko drogą sakramentu, ale odpustu kary doczesnej. Seckendorf przytaczając formuły podówczas używane, rozróżnia formułę sakramentalną, od przydanej do niej formuły indulgencyjnej, a w tej ostatniej mowa jest o odpuszczeniu wszelkiej kary czyścicowej. Luter wiedział o co chodziło. Odpusty takie nie były nic nowego — papieże udzielali je w czasie krucyat. — Bernard św. nawołując do drugiej krucyaty, udzielał je z nadania Eugeniusza tym wszystkim z prowincyj Nadreńskich, którzy szli na zdobycie ziemi świętej. Udzielano je w samychże Niemczech od niepamiętnych czasów tym wszystkim, którzy zadość uczyniwszy warunkom pokuty, przyłożyli się jałmużną do budowania świątyń, szpitali, przytułków, dróg i mostów. Tak na przykład w r. 1381 Arcybiskup Ma-

gdeburski przy poświęceniu nowego szpitalu w Halli, udzielił odpust częściowy wiernym, którzy po odbytej szczerzej spowiedzi podług możności udzielili jałmużnę na ubogich szpitalu. Po spaleniu się katedry Freybergskiej w Saksonii (1484), Innocenty VIII udzielił odpust tym, którzyby się przyczynili do jej odbudowania. Luter o tem wszystkim dobrze wiedział, a jednak powstał na sprzedajność z powodu odpustu ogłoszonego przez Leona X i jałmużny nazwawszy opłatami za grzechy, wywołał skandal odszczepieństwa i herezyi. Czy to jest zacność nauki? którą p. Girtler sławi i przeciwstawia szarlatanizmowi stolicy świętej? Gdyby Luter tyle wiedział o nauce katolickiej, o katolickiej tradycyi i historyi, ile zdaje się wiedzieć p. Girtler, możnaby mu wiele przebaczyć, pod względem kwestyi zacności, ale nie pod względem kwestyi nauki. Możeby mu i nie było co przebaczać z tytułu herezyi, bo już to z tą dozą erudycyi i biegłości w rzeczach religii, jaką posiada wielbiciel jego dzisiaj na krakowskiej katedrze prawa niemieckiego, nie byłby z pewnością stworzył herezyi. Ale Luter wiedział trochę więcej a wygadywał, jak dziś wygaduje pan Girtler. Otóż właśnie dla tego kwestya o zacności jego nauki przeciwstawionej szarlatanizmowi stolicy świętej, jest rzeczą szarlatanizmu i blagierstwa pana profesora, na którym uczniowie jego dawno się już poznali.

Lat temu będzie piętnaście jak w jednej ze szkół pruskich profesor historyi rozpoczynając dzieje tak zwanej reformy wynosił pod niebiosa Lutra jako człowieka wielkiej bardzo zacności; jeden z uczniów tej szkoły wprosiwszy sobie u profesora wolność interpelowania, skromnie, lecz odważnie wypowiedział następujące słowa: „radbym bardzo, aby fakta historyczne poparły świetną pochwałę, którąśmy dopiero przez usta p. profesora wypowiedzianą dla Lutra słyszeli; zdaje mi się jednak, że historia tego mu nie przyzna, ona bowiem świadczy, że Luter całą swoją sławę zawdzięcza śmiałości z jaką podeptał najświętsze zobowiązania własnego sumienia—i z jaką się rzucił na kościół katolicki w brew swej wielkiej nauce, która sumiennie wzięta, byłaby za tym kościołem mówiła. Historia mówi, że Luter był mnichem katolickim, który zamknawszy oczy na światło własnej nauki i zatkawszy słuch na głos własnego sumienia, przez gwałtowność pychy, gniewu i nieczystości został herezjarchą. To świadectwo historyi nie zdaje się być świadectwem bardzo wielkiej zacności.“ Profesor przez takie dictum swego ucznia w obec całej klasy uczuł się obrażonym i żądał surowego zadość uczynienia; ale władza szkolna nie poparła jego żądania<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Czem była owa zacność Lutra opowiadają nam to jak najwyraźniej wybitniejsi pisarze protestancy — wszystkie ich świadectwa zebrał był przed kilkunastoma laty głośniego imienia francuski pisarz P. Audin w klasycznym dziele dr. *Luter et sa vie*. Profesor zachwalający Lutra powinien co najmniej świadectwa luterskich znać pisarzy. *De terra ignota* rozprawić nie można pod karą dania o sobie świadectwa więcej niż grubej ignorancji -- co z godnością profe-

Pan Girtler nie przestaje na obrażeniu przekonanych katolickich przez podnoszenie pochwał na rzecz nieprzyjaciół katolicyzmu, — on, jak z tytułu swego kursu pochwalił herezjarchę, tak musi jednocześnie wyciąć policzek Kościołowi katolickiemu — owszem, owszem, on tylko *ad hoc* podnosi znacność i naukę herezjarchów, innej potrzeby całkiem nie ma. Niech pamięta, że skromność i cierpliwość katolickiej młodzieży ma swoje granice, a tę granicę stanowi miłość Iżonej ustawicznie prawdy katolickiej i katolickiego Kościoła. Cóż będzie, jeżeli sami uczniowie poczną chwycić pana profesora na gorącym blagierstwie?

Panu Girtlerowi wszystko dobre, każdy dobry, byle tylko można się nim posłużyć w poniewieraniu rzeczy katolickiej — bez względu nawet na to, że podnoszone heretyckie znakomitości same się wzajemnie znoszą — stawia jedno obok drugich, albo raczej ładuje ich do swej profesorskiej armaty i strzela a strzela. Chemnitz dobry na sobór Trydencki, dawaj Chemnitza. Luter dobry przeciw Stolicy świętej — dawaj Lutra. Zwingliusz dobry: na co? na rozbicie Trójcy świętej. Dawaj Zwingliusza. „Zwingliusz był człowiek oświeconego ducha, pobożny“. Niby — dla czego? Bo chciał podać jedno tylko bóstwo a nie trzy. To jest, mówiąc bez szyderstwa, chciał Boga w jednej osobie a nie w trzech, jak Kościół katolicki wierzy. Ależ panie profesorze i Luter z acnej nauki, także wierzył w Boga we trzech osobach. Więc albo Luter nie jest z acnej nauki, albo Zwingliusz nie jest człowiekiem oświeconego ducha i pobożnym. Ale co większa, gdzie to p. Girtler wyczytał, że Zwingliusz nie chciał trzech osób boskich? Historia przyznaje mu wiele heretyckich wynalazków, ale o negowaniu przez Zwingliusza troistości osób w Bogu, wcale nie mówi. Jeżeli więc negacya trzech osób boskich zyskała mu w ustach p. Girtlera pochwałę oświeconego ducha i pobożności, to taka pochwała jest wielką dla ZÜRICHSKIEGO herezjarchy krzywdą. Ale pan Girtler, nie mając innego imienia na podorędziu, rad był i Zwingliuszowi; a tyle wiedząc o tym herezjarsze ile i o Lutrze i o Chemnitzu, przylepił mu piętno antytrynitarza. Już więc żeby pan Girtler był coś wiedział o Lutrze i o Zwingliuszu, toby ich był przy sobie nie postawił z epitetami tak się wzajemnie wyłączającami. Wiadomo bowiem, że nie było dwóch antagonistów srożej się na polu religii oraz nauki religijnej mordujących jak ci dwaj kacermistrze. Dalby był Luter Zwingliuszowi, żeby go był złapał na jakimś podobieństwie nauki negującej Trójcę! Jeżeli Kalwin, którego prekursorem był Zwingliusz, smażył na stosie siarczystem ogniem przez trzy godziny Michała Serweta za bluźnierstwo przeciw Trójcy, to Luter Zwingliusza byłby wysmażył przynajmniej w trzech tomach in folio obelg, zlorzezeń i przekleństw za daleko większe bluźnierstwo, które mu podsunął szanowny erudyta wiedeński na katedrze jagiellońskiej w trzy wieki po jego zgonie — aby go za to bluźnierstwo uwieńczyć aureolą mądrości i pobożności.

sora akauemji nie licuje — p. Girtler niech sobie przeczyta Audin'a — radzimy z serca — bo na wiatr rzucać słowa to i najostatniejszy z..... potrafi.

(Przyp. Redak.)

Zwingliusz pobożny! A to jakież jest Luter, który o Zwingliuszu powiada: „że nie może być zbawionym, bo mało mając na tem, że odrzucił Sakramenta, stał się poganinem, umieszczając bezbożnych pogan i epikurejczyków w niebie, jakoby świętych?“ Rzeczywiście Zwingliusz chcąc zapewnić króla Franciszka I, że będzie niezawodnie w niebie (*captandae benevolentiae gratia*), każe mu się naprzód radować, że tam. w niebie, obok Ahrahama. Mojżesza, obok świętych proroków i Matki Boskiej i obok świętych Apostolów, ujrzy też Herkulesa, Tezeusza, Ninnę i t. d. <sup>1)</sup>.

Zwingliusz pobożny i oświeconego ducha! A jakież będzie Luter, który tak napisał o Zwingliuszu i jego nauce, o odkupieniu i Echarystyi: „Nie było nigdy tak bezwstydnej i haniebnej herezyi jak herezya Zwingliusza. Zwinglianie to naśladowcy, to uczni djabła <sup>2)</sup>. Niema środka, albo ja, albo Zwingliusz, pójdzie do djabła <sup>3)</sup>. Ja nic nie mam z Zwingliuszem wspólnego, ja chcę mieć czyste ręce od potępienia tych wszystkich, których Zwingliusz przez truciznę swej nauki zabił <sup>4)</sup>. Ja stanę przed Chrystusa trybunałem z tem chwalebne świadectwem, że potępił i znieawidził z całego mego serca, takich sekciarzy, jak Carlostadt, Zwingliusz i wszyscy ich uczniowie <sup>5)</sup>“.

Dowcipny jeden teolog zapytywał Lutra twierdzącego, że albo on, albo Zwingliusz musi się dostać djabłu: Mistrzu Marcynie, a cóż będzie jak się oba djabłu dostaniecie? — Pan Girtler zatrząsłby się na tę bezbożność Putelanga. On obydwóch posyła do nieba, aby tylko mógł Stolicę świętą i cały Kościół katolicki zepchnąć do piekła. Lecz szydząc z piekła i nieba, tymczasem z wysokości swej katedry obydwóch kacermistrzów wspólnej chwały koroną jednoczy, aby tylko kościół cechą szalbierstwa i głupoty piętnować.

Niedosyć mu na Kościele — patrzcie jak sobie poczyną z samą osobą Jezusa Chrystusa. „Wiadomo, powiada, że Jezus nauczał w polu (pod golem niebem) i nigdy nie wchodził do świątyni“ — komuż to niby wiadomo? Uczniom p. Girtlera? Wątpię bardzo, żeby się który do tej wiadomości przyznał, choćby to był protestant, żyd, jeżeli czytał ewangelię. Zkądżeby tę wiadomość mieli, kiedy przecież o Chrystusie z ewangelii wiedzą, a w czterech ewangeliach przeszło 20 razy powiedziano, że Jezus wchodził do świątyni?

A więc że nieprawdę mówi Jezus Chrystus do swych katów: siedziałem na każdym dniu u was, ucząc w kościele (S. Mat. XXVI 55. Mar. XIV, 49. Luk. XXII 53).

„Potrzeba było rodowodu, aby wejść do świątyni“. Czy bez rodowodu nikt nie mógł wejść do świątyni, pierwszy raz od pana

<sup>1)</sup> Haller *Hist. de la Revolution religieuse dans la Suisse occidentale.*

<sup>2)</sup> *Op. Luth. T. 3. Jena. germ fol. 376. B. fol. 378 A. T. II Wittemb. fol. 131. B.*

<sup>3)</sup> *T. 2. Wittemb. germ. fol. 424. B., Weisl., p. 12. — T. 2. Jena. fol. 379. B.*

<sup>4)</sup> *T. 2. Wittemb. 378. A.*

<sup>5)</sup> *T. 8. Jena. fol. 193 B. — fol. 198. A.*

Girtlera dowiadujemy się, ale że panu Girtlerowi potrzeba było tego rodowodu, iżby z tego tytułu mógł napaść na bóstwo Chrystusowe, to jest oczywiste, i dla tego też wynalazł taką potrzebę rodowodu.

„Wtenczas na zapytanie Faryzeuszów odpowiadał (Chrystus), że jest synem Boga, tak jak każdy człowiek, to jest nie bezpośrednio, ale pośrednim“. Ten frazes z ust p. Girtlera wyszły, tłumaczy nam one potrzebę rodowodu, w głowie p. Girtlera.

Lecz jeżeli Chrystus odpowiadając, że jest synem Boga twierdził tylko po prostu, że jest człowiekiem tak dobrze jak każdy człowiek, to cóż znowu znaczy twierdzenie p. Girtlera, że święty Jan Chrzciiciel stwierdził w więzieniu, że nigdy nie powiedział, że Jezus jest synem Boga? Czy to znaczy, że św. Jan Chrzciiciel odmawiał Chrystusowi godności człowieka, czy że mu nie przyznał godności prawdziwego Boga, czyli jak p. Girtler powiada: godności bezpośredniego syna Bożego? pierwszego trudno przypuścić nawet w głowie p. Girtlera, bo w takim razie za cóżby św. Jan Chrzciiciel miał Jezusa? A przypuściwszy drugie — przypuścić też musimy, że za czasów św. Jana Chrzciiciela istniała kwestya o bezpośredniem synostwie Bożem Jezusa Chrystusa — bo inaczej o bezpośredniem synostwie Bożem Jezusa Chrystusa — bo inaczej z kądżeby się ta kwestya wzięła w więzieniu Janowem?

Są to nierozumowania, nie jakoweś zarzuty, na które odpowiadamy, ale są to błuźnierstwa i nonsensa, które się same brzydota i głupota swoją zbijają — jeżeli zaś dotknęliśmy ich obszerniej, to tylko dla tego, aby módz zapytać swobodniej, co p. Girtler ma do roboty na katedrze akademickiej?

P. Girtler więcej niż śmiało, więcej niż z aplombem zwykł się odzywać w ten sposób w kwestyach religijnych, dając tym tonem do zrozumienia wszem i w obec, czy komu o tem wiedzieć należy, czy nie należy, że jest w tych kwestyach *versatissimus*.

Lecz jeżeli w przedmiocie historii prawa niemieckiego i w przedmiocie prawa prywatnego niemieckiego p. Girtler jest podobnie biegły — i jeżeli samo to jego przekonanie o własnej biegłości wystarczyło w obec pp. ministrów, którzy go do Krakowa przysłali, za świadectwo kwalifikujące na profesora akademickiego, to zaprawdę samo to przysłanie świadczy, że *Alma Mater Jagellonica* nie koniecznie pp. ministrom w różowych przedstawiała się barwach.

Nie pretendujemy, jakobyśmy zdolni byli oceniać szerokość i głębokość historycznej i prawniczej erudycyi p. Girtlera, jak on sądzi się być zdolnym i upoważnionym do oceniania nauki i mądrości wszystkich Papieży, Ojców, teologów i całego Kościoła katolickiego — wszakże z pewnych danych pozwalamy sobie wnosić, że ta erudycya jest bardzo ujemnej wartości.

Najprzód, z powodu nieprzewycięzonej potrzeby wkraczania w obcy zakres. Profesor bowiem, który swój przedmiot zna gruntownie i traktuje sumiennie, nie ma ani czasu, ani ochoty do podobnych wycieczek.

Powtóre, z powodu fanatyzmu antyreligijnego, który daleko więcej ubóstwa umysłowego bywa świadectwem, niż najskrajniejszy fanatyzm religijny.

Potrzenie, z powodu najgrubszej nieświadomości z taką lubością i chciwością podejmowanych kwestyi. Olbrzymia zaledwie znajomość dziejów i nauki religijnej zdolną byłaby usprawiedliwić takie wagowanie się po obcym polu z zaniedbaniem własnego. Gdy więc p. Girtler dużo z większym zapalem traktuje kwestye kościelne i religijne, niż przedmiot za którego wykład jest płaconym, snąc, że sam jest przekonany o swych olbrzymich w owych kwestyach uzdolnieniach. Czy jednak to przekonanie kwalifikuje na profesora akademii, każdy łatwo — lecz nie na korzyść p. Girtlera osądzi.

Jeżeli zaś na korzyść — to z pewnością nie na korzyść profesora, tylko na korzyść agitatora liberalizmu, antyreligijnego i antyspołecznego, który nie wiezieć doprawdy jaki może mieć związek z powołaniem i działaniem profesora, ale który z pewnością jak już pochwycił za wszystkie sprężyny społecznego bytu, życia i działania w Austrii, tak i same akademie do jarzma swojego coraz z większą szkodą i upokorzeniem nauki zaprzęga i niemi podobnie jak dziennikarstwem, izbami i biurokracją — grunt swój uprawia.

Zdawałoby się, że jeżeli gdzie, to w zakresie ściślejszej i wyższej umiejętności, jakaby być powinna każda umiejętność w akademiach uprawiana — liberalizm jest niemożliwym. Umiejętności te tem są doskonalsze, tem pożyteczniejsze, im wyraźniej i ściślej granice ich oznaczone i strzeżone; im doskonalej, że tak powiem, autonomia ich zachowana i pilnowana; im ostrzej przestrzegają, aby obce nauce żywioły, wpływy i cele, w granice ich państwa nie wkraczały, im się z większą skrupulatnością trzymają swych definicyi, faktów, swego przedmiotu i celu.

Tymczasem za dni naszych, liberalizm znany przedtem tylko w zakresie politycznego, społecznego, administracyjnego działania wkroczył już i w przybytek tak ludowego, jak gimnazyjalnego, jak i akademickiego wychowania i na rzecz swoich widoków te nawet sekwestruje katedry, któreby go samą swego przedmiotu naturą odpychać powinny. Prawo z natury rzeczy konserwatywne, z wymagania ducha czasu staje się liberalne i rewolucyjne: i to tak tam, gdzie się wyklada, jak i tam gdzie je stanowią, jak i tam gdzie je aplikują. Akademia ma pod tym względem odpowiadać Izbie prawodawczej i Izbie sądowej.

Pojmowalibyśmy zresztą i w akademii pewnego rodzaju nie liberalizm ale liberalność, która nie mając nic wspólnego z knowaniem i z działaniem w duchu osławionych swemi następstwami zasad 89 r. jest po prostu rodzajem szlachetnej szczodroblowości i działania po nad ścisły obowiązek. Liberalność taka sprawia, że ludzie odznaczający się bogatą wiedzą i szlachetnym zapalem w jej szerczeniu, pragnąc nie tylko zasadniczo wykształcić w pewnej umiejętności zmysły swych uczniów, ale razem wskazać im wpływ i działanie tej umiejętności

w różnych kierunkach, zadają sobie pracę w obznajomieniu ich jaki też i ze sprawą religii owa umiejętność związek mieć może; jak może jej interesom zanie i zbawiennie usłużyć, oraz jakie w niej poparcie znalazła lub spodziewa się znaleźć?

Tak liberalnymi profesorami akademii krakowska i w tych ostatnich cieszyła się a nawet poszczycić się mogła chwila. Dr. Walewski z tytułu swego historycznego przedmiotu nie małe poleżył zasługi na polu religii, a pole historii bogato uprawił. Śp. dr. Rzeziński z zakresu Encyklopedyi prawa, a śp. dr. Z. Antoni Helcel z zakresu historii prawodawstwa polskiego, ileż to razy z wielką korzyścią kształconego przez się pokolenia wykazywali żywotny związek i zgodność umiejętności z religią!

Zapewnie, że pod tym względem niema żadnego ścisłego obowiązku — i niktby też tego nie śmiał się domagać, aby każdy profesor akademicki w ten sposób starał się być liberalnym, — ale czyż katolicy polscy nie mieliby prawa żądać, aby sprawa ich religii nie ulegała przynajmniej zaczepkom z tytułu uprawiania jakiegokolwiek bądź umiejętności? Czyż katedry bądź to medycznego bądź prawnego wydziału miałyby jakąś konieczną potrzebę i jakąś absolutną wolność szarpania tej sprawy? Czyż historia prawa niemieckiego albo kurs prawa prywatnego niemieckiego w Krakowie jest na żołądź owej prawodawczej agitacyi, której zawdzięczamy potarganie najistotniejszego związku państwa i wchodzących w skład jego społeczności z Kościołem? Czyż te dwa kursa mają rzeczywiście tak ścisły związek z tradycjami Mülfelda i Giskry i z ich ideałami, że młodzież polska uczęszczająca na nie, musi koniecznie poddać swe szyje w jarzmo obowiązującej bezbożności i przymusowego bluźnienia katolicyzmowi.

Czytaliśmy w dziennikach niedawno, że jeden z obecnych ministrów chcąc skłonić biskupa Rüdigera do zgodzenia się na pewną formalność względem ostatnich ustaw państwa, zapewniał go, że to wcale nie pociągnie za sobą przymusowego działania na szkodę interesów religijnych — lecz, jeżeli taki p. profesor Girtler sądzi, że jest jego obowiązkiem działać ze swego urzędowego stanowiska z krzywdą katolickiej religii, tedy nie myślimy, aby katolicy krakowscy i galicyjscy nie mieli prawa żądać a przynajmniej przypomnieć, gdzieby wypadalo, że profesorom, jak pan Girtler, byłyby potrzebne pewne instrukcyje w duchu oświadczeń zrobionych biskupowi Lincu.

W Austrii zresztą istnieje podobno i uznana jest zasada wolności wyznań. Ta zasada przyznaje więc każdemu obywatelowi Austrii nietykalność pod względem jego religii. Nie wiem czy pan Girtler wie co znaczy ta nietykalność? Postępowanie jego jako profesora daje odpowiedź wprost przeciwną. Gdyby p. Girtler częstą tego ze swej katedry był powiedział przeciw wyznaniu protestanckiemu lub żydowskiemu, co z taką swobodą pozwala sobie przeciw wyznaniu katolickiemu, z pewnością oba te wyznania czułyby się w obowiązku podjęcia swojej obrony. Czyliż katolicy wyjęci są z pod tego prawa? Albo — cóż znaczy to prawo w obec nasyłania na nasz uniwersytet profesorów, którzy się czują w obowiązku ze stanowiska swego agito-

wać przeciw katolickiemu Kościołowi, lub zwalczać życie katolickie w umysłach kształconej przez nich młodzieży? Albo więc prawo wolności wyznań istnieje i dla katolików, a wtedy pytamy się, co znaczą w uniwersytecie krakowskim obelgi rzucane przez profesora Girtlera w obec młodzieży katolickiej na wszystko, co dla katolików jest święte — albo p. Girtler *ad hoc* jest przysłany, aby z zakresu swej umiejętności walczył katolicyzm i rugował jego zasady z serc akademików — a wtedy, czemuż w ustępie o wolności wyznań nie czytamy, że samym tylko katolikom owa wolność nie przysłuży?

Nie wystarcza replika, że audytoryum pana Girtlera niema nic przeciwko jego traktowaniu religii katolickiej, że go nawet przepraszało kiedyś za wystąpienie *Czasu* przeciw temu traktowaniu, — że jest jednego z nim zdania. Bo najprzód zachowanie się tego audytoryum może być raczej dowodem względności dla profesora a nie zaś pisania się na jego fanatyzm antyreligijny — bo powtórę wśród tego audytoryum są tacy, którzy to postępowanie profesora bardzo boleśnie czują i w przekonaniach swoich sądzą się być ranionymi, bo choćby zresztą zachowanie się audytoryum względem p. Girtlera było istotnie dowodem serdecznego dzielenia z profesorem wspomnianego fanatyzmu — to p. Girtler powinien wiedzieć, że katedra jego równie jak wszechnica Jagiellońska nie jest wyłączną własnością profesorów lub uczniów, ale jest instytucją społeczności katolickiej, bo Polacy są katolikami przynajmniej w niezmiernej większości — a katedra jest miejscem publicznem, z którego lżyć katolicyzm jest to samo, co pogwałcać należne mu prawo nietykalności religijnej.

W każdym razie sama zdrowa logika powinnaby to dać uczuć i przeproszonemu i przepraszającym — że przeprosimy wyszły z niewłaściwego zakresu. Bo i cóż z tego, że zwolennicy znieważania świętości katolickich przepraszają znieważającego, za to, że go zwolennicy czci i zamilowania tych świętości oskarżają?

Ale to ostatnie przypuszczenie jest nieprzypuszczalne. Jakkolwiek bowiem audytoryum p. Girtlera byłoby usposobione pod względem religii, jakkolwiek członkowie jego uznawaliby i uwielbiali znakomitość umysłową i sumiennosc swego profesora — to niemniej dla tego są oni wielbicielami i miłośnikami tego wszystkiego co stanowi byt i życie, tradycje i chwałę ich ojezyny, oraz *Almae Matris* — więc dla pięknych oczu historyi prawa niemieckiego lub kursu prawa prywatnego niemieckiego, ani też dla pięknych oczu genialności pana Girtlera nie mogą być zwolennikami obelg rzucanych na religię, która w życiu Polski i tej akademii czcigodnej ma także swe piękne znaczenie.

Jeżeli nie tylko te słów kilka, ale coraz głośniejsz podnosząca się protestacja sumień katolickich tak niegodnie obrażonych, pozostanie bez skutku — jeżeli i p. Girtler wycieczek swych antyreligijnych nie zaniecha i jeżeli w tym duchu mężowie nauki szerzenie nowoczesnego liberalizmu wiedeńskiego przedewszystkiem mający na oczach i na sercu nad uniwersytem jagiellońskim rozciągać będą monopol swoich da-



źności, na co się od dwóch lat grubo zaniosło, wówczas katolicy nasi w imię najprostszej sprawiedliwości i rozumu domagać się powinni, aby na uniwersytecie przywrócony był kurs obowiązkowy wyższej umiejętności religijnej, a tym sposobem, aby akademicy postawieni byli w możności odpiernania zgubnego wpływu coraz częściej powtarzających się napaści na religię

Na to nauka gymnazyalna ani wystarcza ani wystarczyć może. A zresztą na cóż się zda przez 8 lat w gymnazyum kłaść w głowę młodzieży naukę o elementach religijnych, jako naukę realną, zasadniczą, pożyteczną i niezbędną — jeżeli potem ta sama młodzież przyszedłszy na uniwersytet, bądź to z tytułu tej, bądź z tytułu owej umiejętności, ma się dowiedzieć i ma być przekonywaną, że przez 8 lat pod nazwą nauki religijnej zajmowano ją bałamuctwami, głupstwami i szarlatanizmami.

X. P. G.

## KATOLICY W PETERSBURGU I KS. BISKUP STANIEWSKI.

W Petersburgu jest obecnie kościołów rzymsko-katolickich 4, kaplic 10, wliczając w to kaplice więzienne. Niedawno zaczęto budowę nowego kościoła, który ma być archikatedrą archidiecezyi mohylewskiej, do której wcielone są wszystkie tutejsze parafie. Akademia duchowna w roku 1870 liczyła 80 wychowawców, 8 profesorów, 3 adjunktów i 3 lektorów; posiada także bibliotekę składającą się z 4,000 wzorowo uporządkowanych dzieł, które stanowią około 10,000 tomów. Księgozbiór ten utworzył się z bibliotek b. Uniwersytetu Wileńskiego i niektórych skasowanych klasztorów. Podług źródeł pochodzących od władzy duchownej, liczba zamieszkałych w Petersburgu katolików dochodzi 30,000 osób płci obojej. Przy kościele świętej Katarzyny istnieje zakład naukowy dla panien, fundowany w roku 1839 przez hr. Potocką, w którym znajduje utrzymywane 140 panienek. Zakład ten winien swój rozwój niezamordowanemu dla dobra bliźnich pracownikowi ks. Dominikowi Łukaszewiczowi.

Biskup Staniewski wydał rozkaz, aby w mohylewskiej archidiecezyi odczytywano z ambon przez cztery niedziele dawniejszy carski ukaz zabraniający zaprowadzania jakichkolwiek zmian w obrzędach rzymsko-katolickiego kościoła, chybaby ludność katolicka sama żądała tego, aby nabożeństwo katolickie odbywało się w języku krajowym (to jest moskiewskim). Wraz z ogłoszeniem powtórnem takowego carskiego ukazu książdz Staniewski wydał do swej diecezyi list pasterski, który także z ambon ogłosić rozkazał, zaręczając, że wprowadzenie języka moskiewskiego ani istoty samej wiary ani form istniejących od wieków w katolickim kościele w niczem nie zmieni i nie nadweryży; i on jako pasterz uważa koniecznem zastosowanie się w tem do carskiej woli i ży-

czenia. Gdy jednak, jak się ksiądz Stanięwski wyraża, car najmiłościwszy chce się zawsze stosować do życzeń narodu, i jemu pozwala prosić o to rządu, więc poleca ustanowić w każdym kościele księgę, do której zapisywać się mają ci z parafijan, którzy żądać będą wprowadzenia języka moskiewskiego do obrzędów kościelnych.

Ponieważ ksiądz Stanięwski jest zwierzchnikiem wszystkich kościołów katolickich w całym państwie, przesłem onego kolegium petersburgskiego, należy się więc spodziewać przesłania tego listu do innych także dyecezyj, prócz mohylewskiej.

Tak to Moskale umieją przyodziewać w formy po swojemu legalne wszystkie czynności i wciągać do odstępstwa Polaków katolików. Ludność polska katolicka z trwogą spogląda w przyszłość, jaka się dla niej gotuje przy takich spieszonych krokach do zupełnego oderwania Kościoła katolickiego od jedności wiary.

Jestto więc kwestya wielce groźna, obok której wszystko inne, nawet ostateczne zniszczenie materialnego bytu, niczem jest prawie. Tam bowiem gdzie wolność sumienia niecierpiącego żadnych więzów ziemskich jest zagrożona, na co tylko jeden rząd moskiewski targnąć się mógł bezkarnie, tam jest najwyższy już stopień niedoli!...

## LITERACI W NIEMCZECH <sup>1)</sup>.

Ważne stanowiska zajmować winni dzielni ludzie; przecież nikt koźła nie zrobi ogrodnikiem, a złodzieja podskarbin. Ponieważ zaś prasa jednym z najpotężniejszych czynników i dźwigni w narodzie, przeto należałoby się spodziewać, że ona też wypróbowanym tylko powierzona jest rękóm Tymczasem sprawa ma się całkiem inaczej. Wuttke, który lat jakie dwadzieścia był głową stowarzyszenia literatów w Lipsku, a więc i doskonały świadek, wyznaje sam otwarcie, że między literatami są, prawda, ludzie zacni, którzy szczerze i sumiennie pracują, ale też jest nie mała liczba moralnie upadłych indywiduów, w których stępione jest wszelkie poczucie czci i godności.

Ludynie równo uprawiają rozmaite gałęzie przemysłu. Francya przedewszystkiem zajmuje się jedwabiem, Anglia wełną, a Niemcy papierem. A że fabryki są prawdziwą chodowlą proletariatu, przeto i Niemcy mają swój proletariat literacki. Niemcy wytwarzają więcej umysłowego produktu, aniżeli go spotrzebować i opłacić zdolne. I ten proletariat literacki jest prawdziwą *Ecclesia militans* czwartego stanu. O tyle on od innych niebezpieczniejszy, że podczas gdy prosty robotnik, acz niezadowolony ze swego losu, nie ma przecież jasnego wyobrażenia o swem socyalnem stanowisku, proletariat umysłowy wie, czem jest, — ma się wyraźnie za czwarty stan w świecie i domaga się głośno równoprawnienia *per fas et nefas*.

Jak każdy stan czwarty wytworzył się w skutek gwałtownego, nienaturalnego podniesienia się przemysłu, tak i proletariat literacki w Niemczech

<sup>1)</sup> Wyjmujemy to z artykułu zamieszczonego w Tygodniku katolickim pod tytułem Prasa a Zmitręzenie.

jest przedewszystkiem owocem zbyt wygórowanej żądzy umysłowego rozwoju. Reformacja wrzuciła w łono tego narodu zaród chęci dochodzenia wszystkiego rozumem i przeniosła punkt ciężkości z wiary w badanie, z uczucia w rozum. Ostatnie wstrząśnienia europejskie popchnęły umysły jeszcze dalej w tym kierunku. Po walkach o wyzwolenie z pod jarzma wszystko, co żyje, rzuca się do studyum bez pytania, czy siły i środki są po temu. Kiedy dawniej rzemieślnik poczytywał sobie za chlubę, że synowie i wnuki jego rękodzielnictwo dalej prowadzili, dziś on sądzi, że nie może synowi lepszego zgotować losu, jak dając go kształcić i tym sposobem powiększyć szeregi umysłowego proletariatu. Biedne wdowy, cierpiące głód, niedostatek, żebrzą, pracują na śmierć, aby tylko dzieci swe oddać mogły do szkół. Charakterystycznym jest, że pewne państwo niemieckie nie wiedziało, co ma lepszego posłać na wystawę paryżką w 1867, jak model domu szkolnego.

Przy tak chorobliwym kierunku czasu przedwcześnie pojawienie się piśmiennictwa było nie do uniknienia. Kto chciał zbierać, nie posiadwszy, ten został literatem. Student niedouczoney zabierał naprzód stanowisko, zawód, jako literat, któryby mu się dopiero po dalszej długoletniej a twardej pracy sprawiedliwie mógł być dostać. Owa niebezpieczna zasada, przez uczenie chcieć się uczyć, stworzyła mnóstwo wpółdojrzałych literackich osobistości. Dla tego też płonki i źli literaci to mają ze sobą wspólnego, że już wtedy poczynają się psuć, kiedy dopiero na wpół dojrżeli. Takim sposobem literat pojawia się na samym wstępie jako karzeł naukowy; energia do poważnego studium, do dzielnego, praktycznego działania wnet znikła, podczas gdy właśnie najpierwszem jego zadaniem byłoby powinno owoce sumiennej pracy umysłowej w życiu praktycznym zużytkować, to też i dla społeczeństwa jest ułomnym karłem. Chłop powiedziałaby o takim człowieku połowicznym, że do wozu jest za krótki, do taczek za długi.

Te zdania nie są wcale dowolnymi twierdzeniami, tylko logicznymi wnioskami z najoczywistszej rzeczywistości. Większa daleko część naszych literatów są to geniusze nieszczęśliwe, bądźto dla tego, że się prosto z ław szkolnych w świat rzucili, bądźto, że los rychło im fałszywe drogi życia wskazał. Pierwszy przypadek najczęściej zachodzi. Ktoby się chciał pytać w swoim kraju, ten łatwo dowiedzieć się może, że połowa redaktorów wszystkich czasopism żadnego fachu nie przeszła, bo wielu nawet nie doszło do owej wielkiej bramy, która do wszystkiego prowadzi, do filosoficum, aby z tamtąd przyjrzeć się tym 7 czy 8 gościom wiodącym w życie, lecz już w gimnazjum z pod ognia czynnych. Jednego studenckie miłości z rektorem poróżniły i ustąpił przemocy. A nie uległ jej, to go może dobrowolnie węzły miłotne przywiodły do tego, że porzucił daleką i takę uciążliwego studium fachowego, aby uśmiechając się lubą na bliższej wyspie literackiej w dom pojąć. Inni wpadli na mielizny pieńżne, swe teologiczne, jurystyczne i medycynałne widoki porzucili i wpłynęli na gazeciarskie wody, gdzie nawy ze złejszym balastem do bliższych przybyć mogą brzegów.

Czego nie dostarczą ławy szkolne, tego dostarczy scena. Wielu, którym nawet w trzeciej roli wieniec sławy nie dopisał, szukają go jeszcze wśród literatów. W dialektce zaś teatralnym oznaczają owe trzecie role: zdrajców, zdraźników, w ogóle wszystkich złośliwych ludzi. Publiczność karmi się także pismami, które redagowane przez byłych statystów i zecerów. Intrigatory,

bakałarze i inni uczeni najemnicy dostarczają także swego kontyngensu. Słowem, cały proletariatu uczonej ma swych przedstawicieli między literatami; składa on się wedle Riehla z proletariatu urzędniczego, bakałarskiego, z głodnych docentów akademicznych, z kunszt mistrzów wszystkich gałęzi, począwszy od podróżujących wirtuozów aż do wędrujących skoczków. kataryniarzy i śpiewaków karczemnych. Szacowne publikum poczytywałoby sobie za grzech, gdyby miało upatrywać w redakcyi wszystko rozsądzającej albo w dobrze poinformowanych korespondentach takie potęgi; wtedy tylko, kiedy ci panowie zadną ze sobą, co się niekiedy zdarzy, bywają takie rzeczy milej publiczności zdradzane. Jak tam już redaktora osławionego „Nürnbergger-Anzeigera“ przy różnych okolicznościach nazywa, dziś nie pomnę. Redaktorem pewnego nie mniej sławnego czasopisma hesskiego ma być były furman...

Materiałne położenie literatów jest po większej części nader oślakane. Piśmiennictwo nie jest po dziś dzień urzędem, tylko handlem... Literatów jest nad potrzebę, przeto większa jest ilość sił roboczych niż pokupu, a to zniża strasznie ceny... Trzeba więc wiele pisać, aby coś zarobić; kto zaś wiele pisze, musi wiele wody do inkaustu dolewać, a któż kupi nareszcie odeń ten wodnisty płód?... Młyn może prawda każdy dzień mleć, lecz głowa, któraby czegoś podobnego chciała dokazać, dostarczyłaby tylko bardzo wędznego mlewa. Tymczasem nędza biedaka ciśnie, i im słabsze będą jego płody, tem więcej musi pisać, aby się utrzymał na powierzchni; na tem haniebniejsze warunki musi się godzić z księgarzami, z administracyami dzienników, musi się poddawać upokorzeniom w tej mierze, na które brak nazwy. Nic tedy dziwnego, że w takim położeniu dziennemu literatowi i serce mleć poczyna. Głodny literat, widząc swój geniusz zapoznany i źle oplacony, wypowiada wojnę całemu światu. Kościół, państwo, towarzystwo ludzkie miele, rozgniatą w sercu, w końcu przechodzi do obozu komunistów.

Szczególniejszą klasę pisarzy stanowią tak zwani nowiniarze. Cały Boży dzień deptają bruk miejski, aby zbierać nowiny. Stróża w książęcym pałacu pyta, czy Iks-Mość nie ma chryпки, policyanta, czy dzisiejszej nocy złodziejstwa jakiego nie popełniono, wieśniaka, czy mu się nie uległo ciele z dwiema głowami albo z dwoma ogonami. Takie zdarzenia dają materyał do nader interesujących artykułów i przynoszą biednemu korespondentowi parę groszy zysku.

Są też w tym świecie literackim figuranci, to jest ludzie dający za pewne wynagrodzenie na wszystko swoje imię. Tacy za drugich odsiadują kożę i żyją z tego

Bez wątplenia nie wszyscy redaktorzy, noweliści, korespondenci, finansowo tak źle stoją; niektórzy z nich wcale dobrze się mają, zwłaszcza tacy, którzy obsługują na raz wiele pism wszelakich barw i mają wprawę w wystawianiu rzeczy najczcigodniejszych na ogólne pośmiewisko.<sup>2)</sup> (C. d. n.)

<sup>2)</sup> Coś w rodzaju jajacowskich łamańców wyprawianych u nas przez owych kronikarzy niedzielnych w Narodówce i dzienniku zwiączym się niestety Polskim, silących się na dowcipy, w których niewiadomo co pierwsze odgrywa miejsce, niewiara czy cynizm, czy brak szacunku dla czytelników, nauki czy dobrego wychowania.

## JUBILEUSZ OJCA ŚWIĘTEGO w Ziemiach Polskich.

(Ciąg dalszy).

**Kościan**, 22 czerwca. Dzień 18 b. m. rzadkim był tak dla miasta naszego, jako też dla całej parafii powodem do okazania najwyższych objawów radości. Obok przynależnej z naszej strony czci dla Piusa IX., jako głowy Kościoła, przepelnione są serca nasze prawdziwie synowską miłością ku Niemu dla tego, że naród polski miłością ojcowską ukochał, okazywał mu i okazuje, dowody najwyższego współuczucia. To też wszelka dusza polska, od najmoźniejszego właściciela dóbr aż do najuboższej wdowy i starca z jałmużny żyjącego, kwapiła się na dniu 18 bieżącego mies. z okazaniem czci, wdzięczności i miłości dla Ojca świętego. W mieście naszym i po wsiach do parafii należących od kilku dni poprzednio ruch wielki panował z powodu czynionych przygotowań. Zbierano kwiaty i gałązki z liściem, robiono u błacharzy świeczniki najrozmaitszego kształtu, zwożono dziewka. Działwa krzątała się, pomagając matkom i starszym siostram przy znoszeniu kwiatów, gałązek, splataniu wieńców i girland i z niecierpliwością wyglądała dnia uroczystego. Nadszedł nareszcie dzień z upragnieniem oczekiwany. Z uderzeniem godziny 4 rano zabrzmiały dzwony po wszystkich kościołach katolickich miasta naszego, a ich dźwiękowi wtórował huk z moździerza i z ręcznej broni. Niezliczone mnóstwo pobożnego ludu poczęło już od piątej godziny rano w świątecznym ubraniu zwiedzać świątynie pańskie. Kamienice, domy i domki katolickich właścicieli, szczególnież zaś Polaków po ulicach, uliczkach a nawet zaułkach przystrojone były w kwiaty, wieńce i girlandy. Drzewka przed domami powkopywane, mianowicie zaś na przedmieściu poznańskim, tworzyły piękne aleje. O godzinie 9 zaczęły też niebawem jaśnieć okna rzęsistem oświetleniem. Wszystkie kościoły, mieszkania duchowieństwa, kamienice, domy i domki do katolików Polaków i Niemców należące, nawet niektóre mieszkania ewangelików i starozakonných były oświetlone. Począwszy od okien najmoźniejszego mieszczanina katolika, aż do okienka ubogiej wdowy i starca w szpitalu mieszkającego jaśniało światło. Wsie parafialne również wspaniałą i rzęsiłą illuminacyę urządziły. Po mieście przechadzało się niezliczone mnóstwo widzów, przypatrując się do późnej nocy wspaniałemu oświetleniu i czytając zastosowane do uroczystości napisy na licznych transparentach. We drzwicach rzęsiście i bardzo gustownie oświetlonych klasztoru Sióstr Miłosierdzia, jaśniał transparent z takim napisem:

Piusie IX., Ojcie święty!

My Twe Działki z polskiej ziemi,  
Którym nie pozwolił Bóg,  
Rzucić się dziś wraz z drugimi,  
Ojcie święty do Twych nóg,  
Duchem jesteśmy u Ciebie,  
A po części też i w niebie.

**Odolanów**, 23 czerwca. Nadzwyczajną uroczystość, jakiej się świat katolicki w dniu 16 b. m. doczekał, obchodzono i u nas w niedzielę 18 b. m. godnie i wspaniale. Już wśród tygodnia czyniono przygotowania, by jak naj-

świetniej wystąpić. To też odkąd Odolanów stoi, pewnie niczego podobnego nie widział. Kościół był umajony zielonią; przed presbyterem w miejscu tęczy wznosił się łuk tryumfalny, w środku którego obraz J. św. Piusa IX. był spuszczone; nad nim zaś błyszczały godła papieżkie. W bramie kościelnej czytać mogli przechodnie napis: „Paś baranki moje, paś owce moje.“ Przy wjeździe do miasta od strony Ostrowa i Sulmierzyc były łuki tryumfalne; a każdy dom przybrany w kwiaty, wieńce, girlandy i otoczony zielonemi drzewami. Wieczorem zaś zajaśniało miasto rzesistą illuminacją. Nietylko w rynku, ale i na odległych przedmieściach były z okien jaskrawe światła. Nie brakło transparentów wyrażających serdeczne życzenia Najdostojniejszemu Jubilatowi. Najwspanialej jednak oświetlony był kościół farny. Trzysta świec gorzało wewnątrz kościoła. Na wieży kościelnej były z trzech stron transparenty, z insygniami i berłami papieżkiemi. Na samym zaś szczycie wieży jaśniał kolorowy lampion kolosalnych rozmiarów, w których się kilkadziesiąt świec paliło. Cmentarz w koło kościoła gorzał lampionami; przytem gromkie salwy wiawotowe bezustannie wstrząsały powietrzem, ze szczytu wieży kościelnej puszczano ognie sztuczne. Tłumy ludu zaległy cmentarz, radość malowała się na obliczu wszystkich.

**Kostrzyn**, 23 czerwca. Uroczystość 25-letniej rocznicy apostołskich rządów Ojca św. Piusa IX. odbyła się w miasteczku naszym na dniu 18 b. m. świetnie. Już w rychłym poranku widać było ręce krzątanie się katolickich mieszczan około swych domków, aby je w jak najgustowniejszy sposób przybrać i przyozdobić, a tem samem, aby dać dowód prawdziwego przywiązania do głowy Kościoła naszego. Na twarzy każdego czytać można było zadowolenie i radość, że w tak szczęśliwym żyje czasie, w którym obchodzi świat taką uroczystość religijną, jakiej wieki nie widziały. Skromna nasza świątynia wcześniej i bardzo licznie zapełniła się pobożnymi i zajaśniała podczas nabożeństwa tysiącem świateł gorejących po wszystkich ołtarzach i zakątkach, pośród koron i kwiatów. Mszą św. odśpiewał ksiądz Walterbach, podczas której wygłosił piękną mowę ks. Wesołowski, zachęcając parafian do modlitwy za starca Papieża, który wśród tylu burz okazał się wytrwałym sternikiem łódki Piotrowej i który sam jeden w obec samolubnego śwata o sprawiedliwość się upomniał i upomina dla nieszczęśliwych Polaków.

Wieczorem około godziny 9tej całe miasto rzesisto illuminowało — nie było ani jednego i najuboższego domu katolickiego, w którymby kilka świec w oknie pośród obazów i kwiatów nie gorzało. Około godziny 10tej wieczorem zawezwał raz jeszcze odgłos dzwonu pobożnych do rzesisto oświetlonej świątyni, gdzie po odśpiewaniu litanii do Wszystkich Świętych i suplikacyi, przemówił ks. dziekan od serca do zebranych o uroczystości dnia tego. Wzruszony opuściłem świątynię, by w szerz i wzdłuż miasto przebiedzi i przekonać się z jaśniejących i umajonych okien, czy i u nas kąkol korzenie swoje zapuszcza.

(Oređownik).

## K r o n i k a.

Rzym — E viva! — Gazeta Narodowa — kto służy wrogom? — toleranci polityczni i religijni — wykopaliska — „Sion“ ruski — Dr. X. Delkiewicz i prelekcje historyi kościelnej na uniwersytecie lwowskim — Orędownik poznański — Gwiazda lwowska.

Rzym odarty ze swego dyademu, zepchnięty już został do rzędu zwykłych stolic Europy, owszem niżej, ma być stolicą państwa wzrosłego na grabieży, obłudzie, kłamie, na steku świętokradzkich zbrodni. *Iniquitas consumata*. Spełniono ją w całości. Król Galantuomo może sobie powiedzieć *io sono in fondo*. Inauguracja odbyła się z szumem i hałasem. „Czuć było w powietrzu entuzjazm“ powiada *La Capitale*. I nic dziwnego, bo aż trzydzieści tysięcy śmiecia sekciarskiego *lazzaronów* ściągnięto ze wszystkich zakątków pięknej Italii Alkoholem wina i cekinami rozentuzjazmowany motłoch wrzeszczał z całego gardła *E viva il re Galantuomo!* I w powietrzu czuć to było... *E viva!* Sekciarze do mety pragnień swoich niemal już dobiegli. *E viva!* koniec faryzejstwa, *judicium Dei aproximabit*. Dwa tylko niezadługo powstaną sobie otwarcie wrogie obozy, Boga z dziatwą Kościoła i rozpasanej tłuszczy materialistycznych socjalistów i ateistycznych rewolucjonistów. Półśrodki zginą. Dla hipokryzyi, faryzejstwa, kłamauch katolików miejsca nie zostanie. *E viva!* Czem rychlej, tem lepiej, tem prędszy tryumf Kościoła. Kryzys prześladowania Kościoła nadchodzi, może być straszna, ale majestatyczny będzie Jego tryumf! Rząd króla Galantuomo rychło runąć musi. Zbrodnia od zbrodni cios zagłady otrzyma, aby obydwie snadniej zginęły. Niechaj się więc cieszą wrogi Kościoła, dzień ich tryumfu zapowiada, że do tarpejskiej zbliżyli się stacy.

„*Qui fodit foveam incidit in eam.*“

*E viva!* Bóg zwycięży! *Requiem* dla Kościoła nigdy nie będzie, mimo gorących pragnień *Gazety* związanej się *Narodową* (Nr. 211 str. 2). Nieraz już ludzie *ejusdem co Gazeta farinae* pragnęli pogrzebać raz na zawsze Kościół i jęli mu śpiewać swoje ulubione *requiem* — atoli w tej właśnie chwili Bóg dla nich grób już zgotował. Tak *Gazeta*, *requiem* dla Kościoła nigdy nie będzie chociażbyście i noże nawet wasze przeciągnęli po gardłach katolickiej dziatwy — Kościół hydrę waszą ostatecznie zwalczy i na jej obrzydliwym cielsku sztandar swój zwyciężki zatknie!

\* \* \*

*Gazeta Narodowa* w kilka dni po wygłoszonem przez siebie *requiem* dla Kościoła, w korespondencyi paryzkiej (*R. W.*) (Nr. 220 z d. 13 lipca) noszącej wszystkie piętna lwowskiego fabrykatu pozwoliła sobie stanąć w obronie... katolicyzmu!... Czemożby nie — mógł ksiądz Czerkawski prawić księżom w Warszawie że ich posłuszeństwo dla Stolicy świętej, szkodę Kościołowi przynosi — Bismark nauczać niemieckich katolików obowiązków względem Kościoła — Wiktor Emmanuel tłumaczyć Ojcu świętemu, aby poszedł za jego radami — Apostaci-księża mogli nakreślać plany dla pożytku Kościoła w dziennikach takich jak *l'Opinion Nationale* i *Siècle*, — więc i *Gazeta Narodowa* może nauczać Veuillot'a i rad udzielać nam w Polsce katolikom! Wszak sam Thiers przeląkł jej się ogromnie od czasu jak mu dosadnie palcem nakiwała...\*)

\*) Nr. 217 z dnia 10 Lipca. Korespondent paryzki (*Z*) słusznie bardzo oburzający się na rząd francuzki za ściganie i prześladowanie osób, których

Zresztą wszystko na opak dzieje się dziś w świecie; farmazon chce rządzić Kościołem, rewolucjonista pouczać Papieża — żyd lub renegat pisze dziennik dla katolików — więc i *Gazecie* zostać w tyle nie podobna — lepszą od nich być nie może, toć łącznie z nimi tnie sobie śmiało *requiem* dla Papieża, którego doczesna władza szpeciła dziedzictwo krzyża! (Nr. 211 str. 2) i prenumerować ją będą, właśnie dla tego, Polacy-katolicy i tysiąc a ż księży!..... (Według twierdzenia redaktora *Gazety Narodowej*).

Wśród tych swoich śpiewów Gazeta straszy całą Polskę Ultramontanami, że dla wrogów tylko naszej Ojczyzny pracują. Biedna Gazeta, ostatecznego chwytła się już środka, ale i te larifary na nic się przydadzą. Fakta bowiem historyczne stwierdzają, że nie Ultramontanie, nie zasady katolickie grób wykopały Ojczyźnie, ale rewolucya i rewolucyoniści ją zgubili i gubią; oni to świadomie lub nie, ale zawsze jej mordercy i wrogów współnicy. Z ich to szeregów wychodzą patryoci na służalców Moskwy. Wczoraj członkowie komitetów i narodowych rządów popychający cały naród w potoki krwi a dzisiaj urzędnicy Cara i zdrajcy tych, których do swoich robót wciągali! To pracy waszej owoce, takie Ojczyźnie oddajecie usługi.

Frazes o nietolerancyi niechaj sobie Gazeta dla siebie samej przede wszystkim schowa, waszej tolerancyi w życiu nikt sprostać nie może; złożyliście jej liczne bardzo próby na polu i nawet przekonań czysto politycznych. Ludzi przeciwnych waszym zapatrywaniom się, obrzucaliście błotem i potwarzą. odsądziliście ich od czci, targnęliście się na ich honor, ogłosili za zbrodniarzy! Stryczkiem i sztyletem zmuszaliście innych do kopania wraz z wami grobu dla Ojczyzny! Oto rewolucyonistowska w praktyce tolerancya! Co się zaś tyczy nietolerancyi na polu religijnem *altera cosa*, do tej chętnie się przyznajemy, ona naszą chwałę i niespożyta siłą Kościoła. Tolerantami bowiem mogą być tutaj tylko ludzie dotknięci obłędem umysłowym, nie znający zasad religii, renegaci wiary, ohydni rewolucyoniści, najsprosniejszego materyalizmu i ateizmu wyznawcy. Zostańcież więc sobie przy waszej tolerancyi!

\* \* \*

Wykopaliska. Najnowszym poszukiwaniom archeologicznym p. Aleksandra Przeździeckiego, których opisu szczegółowego zapewne wkrótce spodziewać się należy, nauka zawdzięcza kilka nader szacownych odkryć. Mielśmy, pisze Gazeta Warszawska, sposobność oglądać w jego zbiorze z tego wykopaliska jedną urnę średniej wielkości, całą i bardzo dobrze zachowaną, ułamek wielkiej urny i kilka pomniejszych. W jednej znaleziono szczątki przepalonych kości, oraz szpilkę bronzową prostej roboty, wskazującą pochodzenie przedchrześcijańskie, wykopaliska z tak zwanej przez naturalistów epoki brązu, pośredniej między epoką kamienną a żelazną. Ale nierównie ciekawsze odkrycie zrobił p. Przeździecki pomiędzy Wyszogrodem a Płockiem. Na piaszczystej

jedyną winą jest imię polskie, wpada następnie wśmieszność zadziwiająca: „Sprawę tę podnoszę w waszem piśmie jako najwięcej rozpowszechnionem w nadziei, że słuszne oburzenie opinii dojdzie do Thiersa i mądrych jego ministrów“ Z tego wypada: że Gazeta Narodowa jest opinią publiczną, Thiers się jej też lęka, jak Gambetta w swoim czasie Dziennika polskiego!?!... Bлагерzy, blagierzy! Kpicie sami z siebie, wolno wam! To wasze rzemiosło.



przestrzeni nad Wisłą pomiędzy karczmą Grebówką a wsią Osiną, na gruncie generała Bontemps. oprócz grobu kamiennego z 10 popielnicami, znalazł ostrza kamienne do strzał. Ostrza te u nas nadzwyczaj są rzadkie, a pono nawet całkiem się tutaj nie napotykały. Kraszewski „w Sztuce u Słowian“ wspomina tylko o znajdujących się w zbiorze po śp. Pawłowskim, nie wymieniając zkąd pochodzą. P. Przeździecki zebrał ich przeszło sto na jednym miejscu, a co większa, znalazł zarazem poobłupywane krzemienie, z których je wyrabiano, co by dowodziło iż w tem miejscu znajdowały się warsztaty broni. Inne odkrycie tamże dokonane wtajemnicza nas w obrząd religijny do palenia ciał. Do naczyń glinianego wielkości wzrostu człowieka wkładano trupa, zamykano na głucho, oblepiano gliną i wtedy dopiero palono: następnie naczynie owo rozbijano, a szczątki kości i popioły zgarniano do urny. Wielki odłam takiego naczynia ze śladami gwałtownego działania ognia znajduje się obecnie w zbiorze p. Przeździeckiego. Inny sposób palenia ciał zapewne zbiorowy, wykrył p. Przeździecki w kopcu wklęsłym pod Nakwasinem na łące Wilkanowskiej w ziemi Wyszogrodzkiej o 2 mile od Wisły. Był tam widocznie urządzony piec stały z lochami do przechowywania popiołów zmarłych.

\* \* \*

W tym roku zaczęło wychodzić nowe peryodyczne pismo w języku ruskim pod tytułem *Sion Ruski*. Pismo to czysto religijnej treści dla duchowieństwa jedynie wydawane, z pociechą powiedzieć możemy, bardzo odpowiada szlachetnemu swojemu celowi. Oprócz opisywania bieżących wypadków, obchodzących całe duchowieństwo, posiada ono różne naukowe i liturgiczne zastosowane do czasu wiadomości. W całym piśmie przebija obszerna nauka, głęboka znajomość rzeczy, sumienne opracowanie podjętego przedmiotu. Na polu dogmatycznym nieprzyjaciele kościoła znajdują tutaj zawsze odprawę. Podaje wiele rozsądnych rad dla kapłanów, w sprawach, w których teoria nauki wspiera doświadczenie nabyte w sprawowaniu kapłańskich obowiązków. Rozstrzyga kwestye teologiczne w zastosowaniu do wypadków często między ludem prostym mających miejsce. Cała treść, jako też cytowanie autorów, z których to pismo czerpie powagę swoich dowodów, przekonywa, że nieodbiegając od swojej narodowości, nieodbiega zarazem i od prawd świętych Kościoła. Na szczególniejszą uwagę i pochwałę zasługują kazania, których każdy numer po dwa lub trzy zawiera. Styl i sposób wykładania Ewangelii św. jest prosty, jasny i zastosowany do pojęcia ludu, przykłady i przypowieści dobrze użyte. Jedno tylko w nich moglibyśmy zarzucić, że gdzieś tam znajdują się wyrazy wprawdzie bardzo dobrze i stosownie dobrane, wszelako mogłyby być zastąpione innemi tak aby lud mógł je lepiej rozumieć. To powiedziawszy, zdaje się że dajemy dowody obcego nam zupełnie uprzedzenia przeciwko pismom naszych braci rusinów. *Omnis lingua laudet Dominum*. Niechaj tak zawsze będzie, to miejmy na celu a w onczas znikną zupełnie pomiędzy nami waśnie i domowa niezgoda. Napomykamy o tem dla tego, że w jednym z następnych poszytów naszego pisma z całą siłą będziemy musieli uderzyć na wykład Historii Kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim, wykład, któryby niezawodnie sam protestant Ranke musiał w wielu rzeczach uznać za obrażający prawdę historyczną, a cóż dopiero katolicki Kościół. Prelegujący prawi niekiedy o kościele w sposób zdradzający swoją nieprzychylność, natomiast schyzma grecka i moskiewska więcej niż pobłażliwość znajdują. Ale o tem obszerniej pomówimy. Z księdzem Dr. Delkiewiczem

Profesorem Uniwersytetu na seryo rozprawiać się nam należy. Rzecz to nie błaha, owszem nie małej doniosłości i na powszechną zasługuje uwagę.

\* \* \*

Orędownik, pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym, wychodzące trzy razy na tydzień w Poznaniu, przeznaczone dla klasy przemysłowej i rękodzielniczej, zamieszcza obok wielu bardzo dobrych rzeczy i takie, co obrażają uczucia katolickie, i w zapatrywaniu się, w pojęciach czytelników tego pisma wprowadzić mogą niemałą zamieszkę. Orędownik kilka razy zgañił to, co katolikowi powinno być drogiem i dla czego cześć mieć powinien, a podniósł i zachwalił to, co zasługuje, jeżeli już nie na najsurowszą nagane, to w najgorszym razie na pominięcie jego milczeniem. A przecież Orędownik dla katolików jest redagowany; sam wreszcie jego wydawca pono p. Jackowski, aczkolwiek chromiący mocno na liberalne mrzonki jest katolik, liberalny niestety, ale zawsze katolik. To wszystko powinno było wstrzymać Orędownika od owych lamentów, że jakiś Charette zbiera ochotników, aby iść na obronę Stolicy Św., dalej że partya katolicka we Francyi więcej myśli o Rzymie jak o swoim kraju. Otoż Jenerał Charette, co tyle przysług oddał Kościołowi, zasługuje na to, aby jakiś Orędownik (katolickie notabene pismo) wyrażał się o nim w formie pewnego szacunku a nie jakimś tonem lekceważenia. Dalej Orędownik wiedzieć i o tem powinien, że najpierwszą rzeczą dla katolika jest Bóg i dobro Jego Kościoła. Kto o Bożą chwałę i dobro Kościoła nie stoi, ten Ojczyźnie źle służy, takiego patryotyzm jest żydowskim, patryotyzmem owych żydów o których mówi Augustyn św.: „*Temporalia perdere timuerunt, et vitam aeternam non cogitaverunt ac sic utrumque amiserunt.*“ (*Tractatus in Joannem*).

Kilka razy podniósł był Orędownik stowarzyszenie młodzieży rzemieślniczej we Lwowie. Jakie? O katolickiem zapomniał, ale o jakimś, co wieczorki wyprawia i w żołnierzy się bawi, o tak zwanej na galicyjskim weszłej horyzoncie Gwiazdzie nie zapomniał. A przecież *similis* tylko *simili gaudet*. Orędownik o tem stowarzyszeniu mówił z zapałem; propagatora niewiary niejakiego Zbibrużka czy Zbirożka, propagatora najczęściej użytych zasad a urządzającego bezbrobiec wulgo striki (jak tutaj nazywają) pomiędzy młodzieżą, pasował na wielkiego człowieka! Stowarzyszenie będące szkołą dezorganizacyi podnosi i zachwala swoim czytelnikom. Pisałże o tem Orędownik z rozmysłem czy tylko z nieświadomością? Sokoły, Orły, Gwiazdy Lwowskie nie zbawią Ojczyzny, nie przysporzą krajowi enych obywateli! W takim stanie, w jakim dzisiaj się znajdują, wprost przeciwne wydadzą owoce!

\* \* \*

Kiedyśmy o stowarzyszeniu Gwiazdy napomknęli, musimy się tutaj oświadczyć przeciwko projektowi przedłożonemu przez pana M. Darowskiego X. Odelgiewiczowi, aby Stowarzyszenie Czeladzi katolickiej we Lwowie połączyć z Gwiazdą. Projekt sam w sobie jest czystą niedorzecznością. Stowarzyszenie katolickie wzniesione pracą i zachodami ks. Odelgiewicza zlewać z Gwiazdą, to znaczy rzucić je na łup naszej demokracji, zrzec się charakteru katolickiego, zburzyć dzieło tyloma latami pracy wzniesione, wyrwać je Kościołowi i dla pięknych oczu rzekomego ojczystego dobra poświęcić je niewiarze.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Edward Podolski.

## W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

między innymi zamieszczać będziemy:

1. Wrażenia niemieckiego publicyisty z podróży po Galicji. (Ciąg dalszy).
  2. Europa w chwili pogromu. przez Z. L. hr. Dębickiego.
  3. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno - literacko - historyczne).
  4. Dziennik Poznański i Ultramontanie polscy. (ciąg dalszy).
  5. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
  6. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ na społeczeństwo, przez p. Adama Krehowieckiego.
  7. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydyłka.
  8. Poeci. — Wieszcze. — Dante i Mickiewicz przez X. Jachimowskiego
  9. Jednozgodność „Gazety Narodowej“ pod względem zdań, zasad, dążeń religijno - socyalnych z dziennikami: Franc-Masson, „Gołos“, „Moskiewskimi Wiedomostiami“ i „Dziennikiem Warszawskim“. — Conclusum. — Religia i patriotyzm „Gaz. Nar.“
  10. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy)
  11. Bezkrólewie pod Batorym na 2 nieznanach dokumentach osnute. X. Polkowski.
  12. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d. X. kan. Zygmunt Golian.
  13. Historia synodów w Polsce. przez hr. M. Dzieduszyckiego.
  14. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
  15. Wspomnienia o Cypryanie Damińskim z roku 1646 i o jego manuskrypcie przez uczonego X. Sadoka Barącza.
  16. Postępy Zoologii.
  17. Büchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie
  18. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
  19. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
  20. Rzym i Londyn.
  21. Studium bibliograficzno - historyczne o wszystkich peryodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
  22. Czem jest rewolucya, jej następstwa.
  23. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez \*\*.
  24. Dante Beatrycja i Wirgiliusz.
  25. O architekturze. Przez \*\*.
-

# Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca  
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4; rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarni p. Jaworskiego i p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatcha; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l: 24:

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego

wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

P O J C A Ś W. P I U S A I X.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim . . . . .	?	.	2 zł. — ct.
na papierze listowym . . . . .	1	.	50 „
na papierze zwykłym . . . . .	1	.	„ — „

